

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA:

Z przesyłką poczt. lub dostarcz. do domu
 Rocznie 8.—
 Półrocznie 4.00
 Kwartalnie 2.00

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26
 Otwarte codziennie prócz świąt od
 11 godziny do 4 pp.
 Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu 50 k.
 W tekście (nadesłane) 1 rb.
 Po tekście 20 k.

Czas odnowić prenumeratę na kwartał 3-ci.

„Przegląd Wileński“ jest do nabycia w Paryżu w dzielnicy łacińskiej, na bulwarze St. Michel, w kiosku, znajdującym się tuż przy Muzeum Cluny.

Prytanejon.

Sprawa t. zw. „jedności frontu“ mocno zaabsorbowała publicystykę naszą. Wszczęła się dyskusja głośnie i namiętne. Jakkolwiek niektóre organy prasy warszawskiej korzystają z tej sposobności, by w sezonie ogórkowym młócić pustą słomę; jakkolwiek inne znów mają na względzie tylko rachunki partyjne: niemniej wszelako ogólne i żywe poruszenie umysłów, jakie kwestja ta wywołała, wskazuje, iż społeczeństwo polskie zaczyna już naprawdę zdawać sobie sprawę ze szkód, które przyczynia mu brak instytucji, koordynującej siły, interesy i ambicje narodu.

Jest to więc moment, którego doniosłości dziś jeszcze może nie potrafimy ocenić: moment wypłynięcia na powierzchnię świadomości jednej z najkardynalniejszych potrzeb bytu narodowego.

Wszystkie hasła i porywy, które dotąd potrzebę tę zaspokoić miały, cechowała stale odświętna deklamacja; nie było w nich prostoty dnia powszedniego. Nie umiano inaczej jej usprawiedliwić, jak uciekając się do przeszłości: dawnych tytułów, dawnych zasług etc. Ale żeby ktoś powiedział nam, co ją dziś czyni konieczną, i to konieczną nie na pokaz, nie dla parady, nie dla tradycyjnej ambicji, ale do codziennego, realnego użytku...

Na to trzeba było czasu. On też dał nam wreszcie odpowiedź. Gdy niedawne (i niezłatwione dotąd) konflikty europejskie wymagały zajęcia wobec nich określonego stanowiska — pokazało się, że Galicja idzie do Sasa, a Królestwo do lasa (o ile wogóle orjentuje się, że kędyś pójść należy). Fakt ten unaoczniał ogółowi, dotąd przez jednostki tylko dostrzegany, wewnętrzny rozkład narodu.

Teraz dopiero zauważono, iż poszczególne dzielnice coraz bardziej obcami sobie się stają, że tworzą się trzy odrębne typy narodowe, trzy odrębne kultury. Najbardziej jednak zaalarmować musiało opinię publiczną to — czego najmniej dotąd się obawiano — że poszczególne dzielnice mogą się radykalnie różnić orjentacją polityczną; różnić tak dalece, że aż wprost przeciwstawiać się sobie.

Liberalna prasa rosyjska, która na pewne szczególne zjawiska przywykła (nieświadomie) spoglądać przez okulary ortodoksalnego socjalizmu i stawiać ponad organizmem narodowym organizację państwową, fakt powyższy uznała za naturalny. My go również uważamy za naturalny — skutek istniejących warunków. Nie wszystko jednak, co jest nawet zupełnie naturalne, znosić trzeba z rezygnacją. Wylewy rzek i cholera są to także zjawiska naturalne, a przecież człowiek walczy z nimi, odkąd zrozumiał, że walczyć może, a zwłaszcza odkąd wzrosła wrażliwość jego na te klęski.

Dziś, właśnie obserwujemy takie budzenie się wrażliwości. Świadomość jest jeszcze mgławicą, a szukanie środków przeciw złu — chaosem pomysłów, nie umiejących trafić w sedno sprawy.

Jednym z takich właśnie pomysłów jest oferta Demokracji Narodowej, wzięcia na siebie całej polskiej polityki zewnętrznej; drugim — projekt „Prytanejonu“, z którym wystąpił „Kurjer Poranny“. Byłaby to „Rada najlepszych“ (według projektodawcy: uczonych, literatów i artystów), która, stojąc ponad partjami, ujednostajniałaby nazewnątrz front polityki polskiej.

Te dwa główne projekty mają przedewszystkiem jeden grzech wspólny. Nie uwzględniają, mianowicie, konieczności przymusu, który taka instytucja naczelna winna móżdż stosować do elementów, nie poddających się jej dyrektywie. Przymusów praktykowany jest wszędzie. Posługują się nim najlepiej nawet z narodem zespolone władze i to w krajach najkulturalniejszych, w krajach, posiadających ludność politycznie wyrobioną. Dość

wspomnieć tu obecny zatarg ulsterski, by zrozumieć, że w pewnych momentach nawet najliberalniejszy rząd uciekać się musi do wywierania presji.

Z drugiej zaś strony wystarcza popatrzeć na stanowisko galicyjskiej Rady Narodowej, aby pojąć, że dopóki istnieją warunki dzisiejsze, marzyć nie możemy o instytucji, zdolnej bezwzględnie wolę swą przeprowadzać. I nie należy wcale się łudzić, że gdyby owa Rada miała skład dostojniejszy, działałoby się lepiej. Nie! Boć trudno przypuścić, by w narodzie żywym mogli kiedykolwiek wszyscy godzić się na jedno.

A pamiętajmy nadto, że jesteśmy narodem nietylko zdeorganizowanym, ale też zdemoralizowanym. Większość z nas — to bierni, nieświadomi, utajeni anarchiści. My nie pojmujemy konieczności działania wbrew przekonaniom swoim dlatego tylko, by nie łamać szeregu; my nie rozumiemy, że często bywa lepiej gromadą błędzić, niż rozsypywać się, by dróg właściwych w pojedynkę szukać. Poddajemy się harapowi jedynie.

Ta zaś demoralizacja i dezorganizacja czynić musi w warunkach obecnych coraz większe postępy. Daleko nam jeszcze do tego stanu, w którym kapitalizm ostatecznie społeczeństwo różnicuje i stwarza wyraźne wrogie sobie klasy. Polska — w ogromnej swej części niemal wyłącznym rolnicza — wobec kwestji socjalnych żyje dotąd w stadjum prawie sielankowem. Jeżeli jednak już obecnie antagonizmy społeczne rozsadzają naród, to wyobraźmy sobie, co będzie, gdy uprzemysłowienie kraju osiągnie stopień dzisiejszego uprzemysłowienia Niemiec, a bodaj tylko Francji.

A przecież taki rozwój przemysłu nie jest wcale niemożliwością; przeciwnie — spodziewać się go należy.

Co wówczas poradzi Prytanejon, choćby się składał ze sław europejskich? Naród wprowadzie pozostanie narodem, ale — jako społeczeństwo — mieć będzie w organizmie swym tyle szczelin, że gdzie kto zechce klin wbić potrafi. Dopóki zaś istnieć będą warunki obecne, chętnych takich nie zbraknie zapewne.

Jeszcze fantastyczniejsze jest dążenie Demokracji Narodowej do stania się stronnictwem ponadpartyjnym, zdolnym nadawać polityce polskiej front jednolity. Tendencja taka powstać mogła tu tylko, gdzie panuje powszechny analfabetyzm polityczny i gdzie istota stronnictwa jest dla większości czemś bardzo tajemniczem.

Dopiero ostatnimi czasy organ naszych „fachowych“ polityków endeckich uczynił odkrycie, że przynależność do tego lub owego stronnictwa zależy nietylko od woli jednostki, ale też od czynników, predystynujących jej stanowisko w społeczeństwie. Wszyscy zaś pamiętamy, jak to samo pismo pogląd ten (bardzo już gdzieindziej popularny) namiętnie zwalczało, występując w obronie „jedności narodowej“. Było ono wówczas przeciwnie rozbijaniu całości na stronnictwa, jak gdyby tego dało się przy dobrych chęciach uniknąć. Dziś „Gaz. Warsz.“ zmienia swój stosunek do partyjności — potępia właśnie bezpartyjność; ale jednocześnie wyobraża sobie partyjność, jako możliwość zapędzenia całego narodu, lub bodaj jego większości, na stałe do karnych szeregów jednego stronnictwa — stronnictwa, prowadzącego politykę narodową.

Stronnictwo takie nigdzie na świecie nie istnieje i istnieć nie może. Nadzieja stworzenia czegoś podobnego dowodzi tylko chaosu w głowach naszych „fachowych“ polityków. Funkcje, które oni wykonywać pragną, nie są i być nie mogą zadaniem partji, ale instytucji, która się rządem nazywa. Rząd zaś można określić, jako wypadkową sił aktualnych, wyrażanych przez stronnictwa społeczne, plus pozostałość sił przeżytych, wywierająca wpływ mocą samej tylko tradycji, i organizacji, drogą wspomnianego wyżej przymusu.

Otóż taka jedynie instytucja mogłaby pełnić funkcję na którą porywa się Dem. Narodowa. Wszelkie poszukiwania czegoś innego są to tylko próby godzenia nie dających się pogodzić sprzeczności — próby, przedsiębrane dziś dlatego jedynie, że leżą na drodze najmniejszego oporu.

H. R. C.

MICHAŁ PAWLKOWSKI.

Sielanka.

Błogosławione i słodkie chwile, gdy „jutro“, o którym myśleć trzeba, rysuje się jak daleka, a więc niestraszna mara, a „dziś“ jest promienne i cudne! Błogosławione chwile, gdy troska o drobnostki życiowe nie męczy człowieka, a żadna wiza czarnych lub szafirowych oczu nie spędza snu z powiek strudzonych! Gdy się rano uśmiechem wita blask słońca tylko dlatego, że słońce jest piękne, nie troszcząc się, czy nowy dzionek przyniesie, czy nie przyniesie nowej drażniącej i denerwującej emocji... Jednym słowem — gdy się jest sobą, gdy się żyje własnem życiem, a nie cudzym uśmiechem, lub „słodkiem“, a więc męczącym wspomnieniem tego, co było, a co nie powróci.

Że zaś nic, prócz nudy, nie może długo gościć w duszy ludzkiej, więc prędko na pogodnym nie-

bie mego sielskiego rozanielenia zjawiała się chmurka.

Cudna to była chmurka!

Na imię miała Zonia, liczyła wiosen dziewiętnaście, miała (historja powtarza się, nie prawda?) otchłanne turkusowe oczęta i bardzo czerwone usta. Bliższych szczegółów co do jej powierzchowności podać teraz nie mogę, bo (niewdzięczny rodzie męski!) postać jej na dobre już zatarła się w mej pamięci i tylko chwilami, gdy sobie wzdycham pobożnie do starych dobrych czasów, świeci mi z pomroki przeszłości dwoje ocząt modrych i wabią uśmiechy rozchylonych usteczek.

Zonia (jak każda inteligentna panna) była utalentowana, co nie znaczy wcale, by grała na fortepianie i właśnie brak tego talentu wabił mię do niej. Zonia umiała cudnie deklamować. Powtarzam tu tylko zdanie cudze, bowiem sam się nigdy nad tem nie zastanawiałem: gdy deklamowała, wsłuchiwałem się w srebrzysty głosik i pożądliwie śledziłem szybkie poruszenia wilgotnych warg. Raz wprowadzie — wyznaję ze wstydem — zdrzemnąłem się nieco w czasie zbyt długiej deklamacji, lecz na

Z Francji i o Francji.

III.

Tutto il mondo é uno paese, cały świat jest jednym krajem, mówi przysłowie włoskie i powtarzają często ludzie, dostrzegając, przy powierzchownej niekiedy obserwacji, podobieństwa, nie widząc różnic w życiu narodów społecznych. „Niema przestrzeni! niema czasu! powtarzają przereczeni wciągu kilku godzin siłą pary z kraju do kraju, odbywający podróże z Petersburgu do Kadyksu, czy Palerma wciągu godzin kilkudziesięciu, pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu, dawniej za panowania rzemieennego dyszła wymagające tyluż dni przynajmniej, co dziś godzin. W Hamburgu spotykają się znajomi po dwu tygodniach niewidzenia. „Co u pana słysząc? Nie widziałem pana ze dwa tygodnie?“ — „Ja — byłem na przeciwko (*druben*) odpowiada niemiec...“ „Naprzeciwko“ — to znaczy w New-Jorku. Można wciągu dwu tygodni pojechać do Ameryki i — wrócić. Niema odległości. Człowiek staje się człowiekowi coraz bliższym, coraz więcej podobieństw w stroju, w obyczaju, w układzie życia. Wszędzie tańczą bostonkę albo tango, grają w football albo w bridge'a; wszędzie młodzież goli wasy wraz z brodą, wszędzie jest kinematograf, wszędzie kabarety, wszędzie są też coraz podobniejsze instytucje życia publicznego.

Ludzie często nie mają sądu, ani wiedzy dostatecznej, by odczuć poza tę pianą zewnętrznego podobieństwa różnice głębokie, które dzielą narody świata i ich spóżyte czynią fikcyjnym raczej, konwencjonalnym, zbliżając je na chwilę w momencie potrzeby, aby po chwili oddalić, znowu cofnąć dalej niż były. W świecie ducha dokonywa się, na łuku prawdy nauki i sztuki zbliżenie, tam właśnie, gdzie rządzi Wolność. Ale tu na ziemi, gdzie rządzą zasadami Konieczność i Możliwość, żyją narody życiem swoim, odosobnionem i wyłącznym w głębinie świadomości zbiorowej, niedostępnej, albo tylko trudno dostępnej dla powierzchownej obserwacji turystów. Żyją życiem historycznie powstałej, urobionej, zamkniętej cywilizacji, same siebie tylko rozumiejąc, ma-

ło ciekawe życia sąsiadów, chroniąc zazdrośnie historycznie urobione wartości cywilizacji przed okiem *globe-trotter'ów* (po polsku włóczykijów) i sąsiadów. Mówimy o takich, które mają warunki do życia własnym życiem...

Wielka rodzina socjalizmu społecznego odbija w sobie tę prawdę powszechną. Zbiera się co lat kilka na synodach międzynarodowych i w ciężkiej pracy dni kilkunastu bada sprawy, wspólnie obchodzące całą rodzinę, często kuje dyrektywy dla ogniw poszczególnych wielkiego łańcucha. Kto był kiedykolwiek na takim synodzie, ten łatwo zauważył różnice, nie tylko wyraz swój znajdujące w języku, temperamencie, ale w całości ścierających się ze sobą organizmów. Mówią ludzie ze sobą o tych samych rzeczach, mówią temi samymi wyrazami, te same czy bardzo podobne posiadają poglądy, metody, przekonania; ale gdy szczerze o swoich wrażeniach mówią — przychodzą do przekonania, że się wzajemnie nie rozumieją. Mogą się przegłosowywać, ale się nie rozumieją. Nieraz słyszałem takie zdania w kołach zarówno niemieckich, jak i innych socjalistów. Publicznie tego nikt nie oświadcza z powodów dobrze zrozumiałych. Ale w towarzyskiej rozmowie powie jeden i drugi nie bez rozczarowania.

Dzienikarze socjalistyczni piszą jednakowym językiem, z podobną logiką i jednakowo uzbrojeni pod względem pojęciowym, ale robotnicy czują różnie. Dość posłuchać, z jakim rozczarowaniem powrócili delegaci francuskich syndykalistów z wycieczki na rajskie błonia syndykalizmu niemieckiego. Dla francuza syndykalista niemiec — jest niemal „burżujem“. Dlatego Jaurès, reformista, jest bliższym duchowo robotnikowi francuskiemu, niż robotnik niemiecki; bo Jaurès jest francuzem z krwi i kości, dzieckiem Prowancji, które dojrzewało pod tem samem słońcem, pod którem dojrzewa wino i oliwka, i brzoskwinia polna; wnukiem tych chłopów, co walczyli pod sztandarami Wielkiej Rewolucji i Wielkiego Napoleona, tych samych chłopów, z których wyszedł Danton. Nie tylko sztuka oratorska tych dwu trybunów jest podobna: ich postać i giest, i krew, miłość i nienawiść. Oni obaj są historycznym dziełem wielkich dziejów tej Francji, która była i będzie. Dlatego

to złożyło się zmęczenie, późna pora, a przede wszystkim — może iście sielskie uczucie dla niej.

Dalej — Zonia uprawiała przeróżne sporty, zaczynając od konnej jazdy, a kończąc na flircie. W wolnych chwilach lubiła też bawić się w literacko-społeczne rozprawy. Szczególnie o zmroku. Ach, bo ów szaro-fioletowy, rozmarzający a tajemniczy zmierzch na wsi tak świetnie uspasabia do wynurzeń, przyjaznych rozmów, poważnych pogawędek!..

Półmrok... W przerwach między rozmową słycać wrzuczone bicie serc i głębokie westchnienia... Oczy u wszystkich goreją natchnionym blaskiem... Niewiasty siedzą, jak martwe, z oczami wlepionymi w mętny odrzask okien; mężczyźni głowy wsparli na dłoniach i blade czoła dziwnie a „nastrojowo“ wynurzają się z mroku... Płyną, toczą się, czasem połykają natchnione słowa... Serca biją szybkim tempem, piersi wznoszą się, niby rozsadzane wrzuceniem...

Ach, lampę zapalono! Jaka szkoda — taki był nastrój!

Potem przy herbacie zajadle pałaszuje się

wiejską wędlinę, popijając haustami gorącej herbaty. Bo wzniosły nastrój winien iść w parze z dobrym apetytem. W innym razie — ileż by to naszych inteligentnych i subtelnych panien z głodu umarło!

Zarówno w nastrojowej pogawędce i zmierzchu, jak i w spożywaniu darów bożych Zonia rej wodzi. Na dziś dość literatury, psychologii, spraw społecznych i deklamacji. Rozmowa ożywiona i wesoła. Snują się projekty na jutro, pojutrze... Majówki, konne jazdy, grzybobraniem, spacer... W kąś poszedł Staff, Kasproicz, Tetmajer i Savitri, w kąś — do następnego zmierzchu, lub do najbliższej ulewy, gdy wszystkie sportowe plany same przez się w łeb wzięć muszą.

A ja, udając się na spoczynek, robię obrachunek sumienia, uważnie przebiegam myślą wspomnienia najbliższe i mam w głowie mętny chaos. Modre oczy Zoni, konna jazda, deklamacja, purpurowe usta...

A nazajutrz spotykamy się sami w salonie. Rozmowa nie klei się. Zonia zda się czegoś wycze-

Jaurès jest taki samotny na kongresie międzynarodowym, gdzie go podziwiają, zwalczają, obalają, ale — nie rozumieją. Dlatego socjalizm francuski, często wyśmiewany przez Niemców, podejrzewany pod względem prawomyślności marksistowskiej, traktowany zgóry, klepany po ramieniu — jest przeważnie *nie rozumiany* przez nich, ani przez przygodnych korespondentów nawet polskich, posiadających znajomość rzeczy francuskich po dwu tygodniach pobytu nad Sekwaną na podstawie dziennika i mityngu, a także kilku anegdot, kursujących po kawiarniach.

Jaka jest rola socjalizmu francuskiego, czego ten socjalizm chce? Pytanie zajmuje wielu. Rola socjalizmu we Francji jest wielka, znacznie większa, niż w innych krajach, w których wyznawców ma względnie znacznie więcej i w których rola jego, w stosunku do cyfry wyznawców, jest bardzo mała. Nie jeden publicysta francuski i międzynarodowy starał się znaleźć na pytanie to odpowiedź. I dla nas ta kwestja znaczny posiada interes.

W Niemczech frakcja socjalistyczna w parlamencie liczy studziesięciu deputowanych i cztery miliony wyborców; w Austrii — 80 deputowanych. Jednak w państwach tych socjalizm w parlamencie nie gra tej roli, jaką by arytmetycznie grać powinien. Socjaliści są tu bardzo odosobnieni mają przeciwko sobie zwartą falangę przeciwników. We Francji inaczej. Nawet po r. 1904, kiedy synod amsterdamski nakazał Jauresowi porzucenie wiceprezydentury w Izbie, co musiało być skutkiem zaprzestania kooperacji z radykałami, socjaliści nie przestają znaczyć wiele w Izbie. Niekiedy losy ministerjów od nich zależą. Artur Groussier, inżynier — któż z bywalców Izby deputowanych nie zna tej pięknej postaci zasłużonego działacza! — socjalista, może od lat kilku być sprawozdawcą, jakże czynnym, przytomnym, pełnym wiedzy i dobrej woli — sprawozdawcą reformy prawa wyborczego! W żadnym parlamencie świata wypadek taki nie mógłby dziś jeszcze mieć miejsca. Stąd łatwo zrozumieć, że frakcja parlamentarna może na rząd wpływać łacniej i skuteczniej niż w innych krajach, gdzie rząd — zresztą nieparlamentarny nie wiele sobie z socjalistów czyni, chyba że ich w pewnych głosowaniach potrzebuje (jak w W. Brytanji

w głosowaniu za *Home Rulam* dla Irlandji). Francja jest krajem demokratycznym (politycznie). Francja liczy w parlamencie wiele bardzo stronnictw historycznie sformowanych i wciąż jeszcze odrębność swoją zachowujących, skutkiem czego w głosowaniach 75 głosów socjalistycznych może odegrać nie raz rolę bardzo ważną, decydującą. Deputowany socjalistyczny we Francji gra rolę odmienną, niż towarzysz jego w Niemczech, albo w Anglii.

Socjalizm francuski od niedawna jest zjednoczony. W kwietniu 1905 roku na zjeździe zjednoczenia rozbite odłamy opinji socjalistycznej francuskiej skonsolidowały się i związały mechanicznie, ożywione pragnieniem zjednoczonej pracy. Wszystkie te frakcje, razem wzięte, liczyły 34,688 członków, płacących składki... Dziwiono się powszechnie, że ich tak mało. W r. 1906 — ilość ta wzrosła do 43.462, w 1908 — 49.348, 1910 — 53.928, w r. 1912 (15 października) — 66,652.

Socjalizm przechodzi obecnie przesilenie. Tak mówią we Francji socjaliści sami. Od lat dwu, trzech przestał rosnać. Domyślają się, że to przesilenie przejściowe. Na prowincji ruch jest słaby. W departamencie Ain federacja liczy 355 członków, w dep. Charente 312, Eur-et-Loir 237, Landy i Loiret 90. Niktby nie uwierzył, aby w departamencie francuskim nie było setki socjalistów! Ale weźmy Paryż, stolicę państwa, stolicę także myśli rewolucyjnej. Departament liczył:

w roku 1905	—	7378	członków federacji.
" "	1906	—	6987
" "	1907	—	6500
" "	1908	—	7931
" "	1909	—	8125
" "	1911	—	8750
" "	1912	—	8500

Na północy (dep. Nord), w dzielnicy wielkiego przemysłu, gdzie socjaliści najbardziej są zbliżeni do typu niemieckiego, rozwój odbywa się w porządku następującym:

W roku 1906	—	8300	
" "	1907	—	8700

kiwać. Mnie zupełnie spętała trwożna i tkliwa nieśmiałość.

Podchodzi do stołu i bierze do ręki tomik poezji.

— Aa! Tetmajer...

Pobieżnie przerzuca welinowe kartki, poczem kładzie na miejsce z nabożnem westchnieniem:

— Śliczne...

Potem sięga po inną książkę, lecz prędko cofa rękę, niby przed ukąszeniem żmii.

— Makuszyński!

A ja patrzę w modre oczy, zlekka frendzlami rżęs przesłonięte i śledzę miarowe poruszenia kształtnych piersi. Łapie moje spojrzenie na gorącym uczynku i odpowiada mi przyjaznym uśmiechem.

Podchodzę i staję obok. Przerzuca jakieś album. Na ustach ma dziwny uśmiech.

— Panno Zofjo...

Przez otwarte okno zagląda do cichego wnętrza ukwiecona gałąź akacji. Ciągnie ciepły

a rzeźwy powiew. Świegot ptactwa i poszum lip stuletnich.

— Panno Zofjo...

Coś mi pierś rozsadza... Łowię nozdrzami ciepłe westchnienie ogrodu, które miesza się z dziewiczym aromatem perfum Zoni. Widzę biały, złotawym puszkciem pokryty karczek, okrągłe ramiona i splety włosów złotych... Ręce mi drżą, a głos lamie się:

— Panno Zofjo...

Pytająco podnosi na mnie swe oczy i — wybucha bardzo serdecznym śmiechem.

Chwilę stoję bezradny, niby oblany zimną wodą, ale potem śmieję się również. Z nami wspólnie śmieją się plamy słońca, latające po ścianach i posadzce, śmieje się rozkołysana na wietrze gałąź akacji, śmieją się urągające świegoty wróbli. Również śmieje się — szyderczo śmieje się różowa Nadzieja, która się nagle w hydrę ironji zmieniła. A druh Rozsądek klepie ją porozumiewawczo po ramieniu i szeptem cicho, cichutko:

— Widzisz, romantyku?!

W roku 1908 — 10200
 „ „ 1911 — 11525
 „ „ 1912 — 11530.

W Pas de Calais cyfra w r. 1912 spadła o 18%, w Bouches-du-Rhone — o 11%, w Hérault — o 20%. Tylko w kilku departamentach liczby członków federacji socjalistycznej wzrosły, zawsze o kilka jednostek.

Tymczasem w innych krajach wzrost w tym samym czasie był nad wszelki wyraz wielki. W Niemczech:

w roku 1906 było 384.000 człon.
 „ „ 1910 „ 720.000 „
 „ „ 1911 „ 836.000 „
 „ „ 1912 „ 970.000 „

czyli wzrost równał się pół milionowi zgórą członków, podczas gdy w tym samym czasie socjalistom francuskim przybyło dwadzieścia tysięcy członków. W jednym tylko roku krytycznym dla socjalizmu francuskiego: 1911/2 przybyło Niemcom 134.000 członków, a Francuzom nic nie przybyło. Prawda, że ludność niemiecka jest większa od francuskiej o 26 milionów, ale niemniej jest uderzającym, że tam 1 socjalista, płacący składkę partyjną, wypada na 66 mieszkańców, a we Francji 1 na 600. W Niemczech jeden płacący składkę wypada na czterech wyborców socjalno-demokratycznych, a we Francji, 1 na 18. Hamburg, który liczy milion mieszkańców, posiada osiem razy więcej członków, niż depart. Sekwany, który liczy 4 miliony mieszkańców. Meklemburg, odwieczna forteca junkrów rudyment feudalizmu — posiada więcej socjalistów, niż najbardziej przemysłowa dzielnica Francji — dep. Nord.

Pisarze socjalistyczni francuscy zastanawiają się nieraz nad przyczynami stagnacji w rozwoju socjalizmu francuskiego. Swoboda rozwoju jest zupełna. Środków nie brak, bo deputowani oddają z pensji swoich po 3000 fran. rocznie do kasy partyjnej. (73 × 3.000 = 219.000 f.) Agitatorzy są w ciągłym ruchu, odbywają kampanje agitacyjne po całym kraju w ciągu całego roku. Ludność Francji przyzwyczajona jest do haseł socjalistycznych. Tutaj przecież powstała przeważna ilość tych haseł. Tu była ojczyzna Utopistów. Tutaj Marx porządkował niezliczone pomysły Saint-Simona i Fourier'a, krytycznie przebieając, co w nich trwałe i dźwigał potężny gmach myśli swojej. Tu dokonywała się najbezwzględniejsza krytyka pomysłów społecznych. Tutaj pomysł strejku powszechnego znalazł najliczniejszych i najbardziej oddanych zwolenników. Proletariat francuski, naród francuski nie boi się tedy haseł, które w tym kraju są stare, wszystkie bez różnicy oddawna propagowane, broniące i obalane w atmosferze wolności słowa i wolności myśli. Niema tu miejsca na mizoneizm.

Jakież tedy przyczyny sprawiają, że w rozwoju socjalizmu francuskiego zachodzi stagnacja?

Francja nie jest krajem wielkiego przemysłu. Jej handel nie jest scentralizowany, jak w innych krajach. Drobną własność rolną trwa dalej bez przerwy. Są i we Francji dzielnice, podobne pod względem struktury ekonomicznej do niemieckich albo angielskich*), ale są to wyspy nie przypominają

jące Westfalji, porzecza Renu, Saksonji, Śląska. Są olbrzymie przestrzenie wolne od przemysłu, gdzie drobny handel trwa dalej jak przed półwiekiem, gdzie drobna własność ostała się przed chciwością większej, przed lichwą banków prowincjonalnych i zachłannością wielkiego kapitału. Ludność rolna wynosi wciąż jeszcze 50% we Francji, podczas gdy w Niemczech spadła do 36%, a do 20% w Anglii.

Jednak ta struktura ekonomiczna nie tłumaczy słabego rozwoju, ani stagnacji socjalizmu. Program socjalistyczny przystosowany został do tych warunków. Socjalizm wypracował (jeszcze w r. 1894) pomimo protestów Engelsa, program rolny, nie obrażający przekonani ani interesów drobnego właściciela rolnego we Francji. Ale gdyby nawet tak być miało, że brak wielkiego przemysłu wpływa na stagnację w rozwoju socjalizmu francuskiego, to czemuż ta stagnacja daje się we znaki w dzielnicach wielkiego właśnie przemysłu?

Dalej mówią publicyści francuscy — robotnik francuski z trudnością mieści się w ramach organizacji, stałej i trwałej. Nie zręka się najmniejszej cząsteczki swojej niezawisłości osobistej, jest indywidualistą przedewszystkiem, nie lubi płacić stałych składek partyjnych. Nigdy naród francuski nie tworzył wielkich organizacji. Syndykat robotniczy, zaledwie utworzony, rozpada się wnet na kilka frakcji, tak samo federacje dzielnicowe. Nigdzie składki nie wpływają stale. Na każdym kroku organizacja rwie się i trzeba ją budować od nowa. Niema ani jednego stronnictwa we Francji, któreby było zorganizowane tak mocno, tak umiejętnie, jak najslabsze w Niemczech, w Belgji, w Anglii. Niema stronnictwa radykalnego, składającego się raczej w kilkudziesięciu ogniw—komórek, które żyją własnym życiem, a często są ze sobą w walce. Inne stronnictwa żyją tylko podczas wyborów; z chwilą, gdy wybory zostają zamknięte, zapadają w stan letargu, który trwać będzie lat cztery, albo mniej, jeśliby Izba miała być rozwiązana. Wiadomo, że stronnictwo socjalistyczne zorganizowane jest najlepiej, że najwięcej czyni wysiłków, aby organizację zachować i umocnić ją. Ale charakter narodowy jest silniejszy ponad największe wysiłki. Indywidualizm francuski, jak dotąd, wychodzi obronną ręką w walce z organizacyjnością, z dyscypliną.

Stanisław Posner.

Młodzież społeczna w zwierciadle „Głosu Młodych“.

(Dokończenie.)

O ile w kwestji litewskiej, ukraińskiej, białoruskiej młodzież zajęła stanowisko właściwe, oparte na znajomości rzeczy i krytycyzmie, o tyle kwestję żydowską traktuje w dalszym ciągu w myśl teorii, dogmatu. Przeocza, czy nie chce pojąć znaczenia tej sprawy, zwłaszcza na obszarze Polski etnograficznej i ogranicza się do zdawkowego potępiania bojkotu, oburzania się na bojkot, jako na czynnik niekulturalny. Stanowisko to jest niekonsekwentne i jednostronne. Niekonsekwentne dlatego, bo młodzież ta jest zwolenniczką bojkotu w innej dziedzinie;

*) Okręg tkacki w dep. Nord, okolice Amiens i Rouen, okręg metalurgiczny Loary, okręg węglowy Meurthe et Moselle, okolice Paryża i Marsylii.

jednostronne, bo poza potępieniem bojkotu. Dwugroszówki, — samej kwestji ani zgłębić, ani ująć się nie stara.

Można bojkot uważać za oręż wątpliwej wartości. Na to zgoda. Wszelki bojkot, sam przez się, to oręż bierny, a nie czynny, nie twórczy. Ale naturalną jest rzeczą, że gdy tworzymy coś nowego, to zwalamy, burzymy, bojkotujemy stare. Chodzi tylko o to, kto, w jakim celu i w jaki sposób to robi.

Tworzenie handlu i przemysłu polskiego i popieranie go przez sfery, zainteresowane bezpośrednio, sfery mieszczańskie, musi być połączone z bojkotem handlu i przemysłu obcego, bez względu na to, czy jest on żydowski, czy niemiecki. Nie inaczej powstał handel i przemysł czeski, nie inaczej rozwija się handel polski w Poznańskim.

W artykule „Heroldowie drobnomieszczaństwa” — pisze na łamach „Głosu młodych” p. M. Mirski, że w razie powstania silnego, spoiwego mieszczaństwa w Polsce, t. j. osiągnięcia celu przez bojkot, zdobędzie ono, jak w dobie pozytywizmu „panowanie nad umysłowością i psychiką polską”. I woła z emfazą: „oto stoi przed nami perspektywa kulturalnego uwstecznienia o całe pokolenie, nowego tryumfu krzewicieli kompromisu, obrońców wszelkiego *status quo* i Dulszczyzny”.

Zapomina jednak, że pozytywizm w Polsce zdusił już pomyślnie Zagłoba, prapradziad duchowy różnych Dulskich; że pozytywizm, jako prąd myślowy, jako światopogląd, nie panował w Polsce tak samo, jak nie panowało dotąd mieszczaństwo.

Inteligencji, pozytywiści w dobie upadku ducha i depresji politycznej starali się przełamać psychikę szlachecką, starali się nakłonić Polaków do pracy wogóle i szacunku dla niej, starali się wzbudzić kult dla nauki, wiedzy, techniki, mocy ekonomicznej narodu, uspołecznili go, wyplenili przesady, klerikalizm, obskurantyzm, nałogi i wady.

Dziś hasła ich pod wielu względami przebrzmiały, lecz pod wielu — zwłaszcza na Litwie i Ukrainie — są jeszcze bardzo żywotne. Pamiętać zawsze należy, że pozytywiści byli ludźmi, wzrosłymi w pewnych warunkach i w pewnym środowisku, i zrobili, co mogli, dla podniesienia narodu pod względem ekonomicznym, społecznym, kulturalnym. Nie poruszali zagadnień politycznych, lub poruszali je oportunistycznie... Tak. Lecz pamiętać trzeba, jakie to były czasy.

Rzucać dziś słowa potępienia lub wzdrywania pod adresem pozytywistów, łączyć ich z Dulszczyzną — to śmieszne, to naiwne, lecz i bolesne. Dulszczyzna? Dulszczyzna, jako szarzyzna, jako kołtuństwo, przejawia się wszędzie, w każdym okresie i w każdym środowisku.

* * *

Najdonioślejszą może je poruszona przez „Głos Młodych” sprawa emigracji i powrotu do kraju. I wyznaczyć trzeba, że w tej sprawie, rozstrzygającej faktycznie: czy i w jakiej mierze młodzież postępuje ma prawo budować drogi i torować szlaki dla społeczeństwa — tony jej wymowy oraz moc jej argumentów dźwięczą dość niejasno, dość słabo.

Sprawa ta — to miejsce najsłabsze młodzieży, kształcącej się w wyższych zakładach Rosji, jako przyszłych inteligentów, ludzi dyplomów, papierowych przywilejów, to — pięta Achillesowa jej ideologii.

Cóż znaczą najpiękniejsze, najchmurniejsze i najdalej idące hasła polityczne i społeczne, jeżeli nigdy nie będą w znoju i wysiłku wcielane w życie? Nic.

Kwestja postawienia poważnego sprawy powrotu do kraju — to probierz zarazem wartości ideałów młodzieży. Pewien wysiłek w tym kierunku w „Głosie Młodych” jest widoczny. Dwa artykuły były poświęcone tej sprawie.

Pierwszy z nich: „Wracajmy do kraju”, obraca się w chmurze ogólników i nic nie mówiących frazesów; drugi zaś: „W kwestji emigracji”, jest wprost oportunistyczny, bo godzi się z emigracją beradnie i bezwolnie.

„Rzecz oczywista — pisze p. Bohdan J. — że w walce o byt *nolens volens* znaczna część inteligencji musi (!) pożegnać się z krajem i szukać zajęcia na obcym gruncie, wśród obcego społeczeństwa — zjawisko smutne, w znacznym jednak stopniu uwarunkowane położeniem naszego kraju i narodu”.

Jakto? Więc, gdy chodzi o przebudowanie życia innych klas społeczeństwa, o krytykę starszych, o Dulszczyznę filisterską — potraficie być bezwzględni; gdy jednak idzie o wasze kariery, o wasz byt, wkraczacie na drogę najmniejszego oporu, na tory oportunisty.

Nie! I na tej drodze młodzież postępuje, młodzież idejowa powinna być twórcza i krytyczna, powinna szukać dróg do kraju, powinna przystosować swe aspiracje indywidualne do potrzeb narodu, warunków jego bytu.

Aby racjonalnie postawić kwestję zachowania sił inteligienckich dla kraju, musi młodzież przeprowadzić akcję planową, musi zastanowić się poważnie, w jakich zawodach można znaleźć chleb w kraju, jakie zawody są społeczeństwu naszemu na miejscu niezbędne i potrzebne.

Tej planowości, tej myśli przewodniej, tej celowości wśród obierającej zawód młodzieży, niema zupełnie. Demokraci słów są przeważnie arystokratycznie przywiązani do przywilejów papierowych, do dyplomów rządowych.

Młodzież z Litwy i Rusi, nawet taka, która po ukończeniu zakładów naukowych ma możliwość powrotu na ziemię, do własnego warsztatu pracy, często, miast odbywać studia rolnicze w Warszawie, na kursach rolniczych, ewentualnie w Dublanach, Krakowie, kończy instytut technologiczny w Petersburgu; miast wzbogacać wiedzę zawodową, podnosić kulturę rolną, a przez to utwierdzać się na ziemi, woli zabezpieczać się dyplomem, możliwością otrzymania posesy w Rosji, miast kształcić się wśród własnego społeczeństwa, spędza lat 7 — 8 w obcym środowisku.

Wiele młodzieży wstępuje do zakładów naukowych takich, po których ukończeniu napewno chleba w kraju nie znajdzie, a gardzi kursami handlowymi w Warszawie nie tyle ze stanowiska idejowego, ile z powodu wrodzonej niechęci do łokcia i miarki.

To też nie tyle wspomniane artykuły mają znaczenie dla hasła powrotu, ile sumienne i ciekawe korespondencje z Warszawy p. W. Topolskiego, informujące wyczerpująco młodzież polską, czego się można nauczyć w Warszawie. Zakłady polskie wyrosły na tle potrzeb społeczeństwa, jego żywotnych interesów — zarówno społeczno-ekonomicznych, jako też kulturalno narodowych.

Wpłynąć na to, aby młodzież kształcąca się już

w Rosji, wrócić do kraju, jest trudno. Niechajby jednak „Głos Młodych“ oddziaływał na młodsze pokolenie, na to, które zostaje jeszcze w zakładach średnich i które dopiero gotuje się do obrania zawodu.

Inteligencja, o ile ma być istotnie dźwignią kulturalną społeczeństwa, musi być wyrazem jego potrzeb, interesów, aspiracji; o ile zaś ma być demokratyczna, musi być wyrazem potrzeb i interesów milionów. Więcej wart jeden nauczyciel ludowy, pracujący dla oświaty ludu w jakiejś zapadłej Koziej Wólce, niż pięciu profesorów uniwersytetu, świecących swą wiedzą na dalekiej i obcej północy.

* * *

Z kwestją powrotu do kraju związana jest pośrednio sprawa szkolna, jedna z najzawilszych i najtrudniejszych.

W kwestji tej „Głos Młodych“ zabrał głos, by żądać zjazdu młodzieży, któryby określił na przyszłość jasno i wyraźnie swój do owej sprawy stosunek. Śnać czuje młodzież, że broń bierna, jaką stosowała dotąd, nie przynosi żadnych prawie korzyści szkolnictwu polskiemu, bo ilość dezertorów rośnie, bo oportunistom starszego pokolenia dezertorów tych otacza opieką. Czy jednak wina tego chaosu, jaki w kwestji szkolnej panuje, leży całkowicie po stronie starszych? Czy winą tą nie powinna podzielić się z Dmowskimi młodzież polska wszelkich odłamów przekonaniowych — zwłaszcza zaś ta, co wypełnia zakłady naukowe w Rosji? Chyba — tak. Bo stosować broń oporu biernego i odsądzać od czci innych, a samemu wyjeżdżać do Petersburga, Moskwy, Charkowa, bo być w teorii szermierzem szkół polskich, a samemu nie popierać tych uczelni polskich, jakie w Warszawie istnieją, nie walczyć o powstawanie nowych — toć to kompromis poważny, pociągający za sobą w skutkach dezercję coraz liczniejszą, dezercję, która rozumuje w ten sposób, że, jeśli wolno kształcić się w uprzywilejowanych zakładach Rosji, to wolno się do nich odpowiednio też przygotowywać i nie jest też występkiem, gdy środków na wyjazd niema, pozostać w zakładach wyższych uprzywilejowanych w Warszawie.

I wam i nam — mówią — nie o wiedzę chodzi, lecz o dyplomy, o tytuły. Czegóż więc się oburzacie? Czego rzucacie na nas gromy? Czy za to, żeśmy biedniejsi?

I jest w tych wywodach pewna doza słuszności. I zakłopotaną musi się czuć zwłaszcza młodzież z Litwy, Ukrainy, która i w średnich zakładach i wyższych kształci się w Rosji. Bo na czemże jej wyższość obywatelska polega?

Czyż tylko na tem, że urodziła się i wzrosła poza Królestwem?

To też w kwestji szkolnej młodzież idejowa może przeciwstawić oportunizmowi wszelkiemu skutecznie — tylko czyn, tylko wypełnienie istniejących wyższych uczelni polskich w Warszawie, tylko domaganiem się nowych.

Nie mają uczelnie polskie praw? Tak, to prawda. Potrzeba nam lekarzy, prawników. Niech więc starają się o dyplomy ci tylko, którym papier jest niezbędny do pracy dla własnego społeczeństwa. Techników, handlowców i rolników — winniśmy tworzyć sami. Uczelnie polskie winna młodzież wypełniać po brzegi.

I tylko wówczas będzie ona miała moralne prawo wpływania na starsze pokolenie, tylko wówczas akcja jej będzie owocna i skuteczna. Tylko wów-

czas młode pokolenie inteligencji zdemokratyzuje się szczerze, zrośnie głęboko z pozbawionem praw społeczeństwem, stanie się dźwignią jego rozwoju. Tylko wówczas młodzi staną się hartownymi szermierzami o wolność i prawo, bo i o swoje prawa walczyć będą zmuszeni.

Dotąd zaś, póki młodzież nasza tego nie zrozumie i na tę drogę nie wstąpi, wszelkie jej manifesty i protesty będą pustymi dźwiękami, którym rzeczywistość na każdym kroku kłam zadawać musi.

* * *

Poza kwestjami, związanymi w ogólnem życiu narodu, jego rozwojem i przyszłością, a właściwie — równorzędnie z niemi winny absorbować młodzież i kwestje wewnętrzne, kwestje samowychowania, kwestje kształcenia charakteru, umysłu, kwestje organizacji oraz instytucji samopomocy.

Niestety, jak dotychczas, „Głos Młodych“ sprawom tym zbyt mało miejsca poświęca.

Bardzo ciekawe pod tym względem i dyktowane przez umysł krytyczny są artykuły p. J. Wolskiego p. t. „Biuro pracy“ i „Zasady organizacji“.

W pierwszym z nich występuje autor gorąco przeciwko dotychczasowym instytucjom wzajemnej pomocy, opierającym egzystencję głównie na dobroczynności kolonji, na pożyczkach, wyrabiających wśród młodzieży typ ludzi giętkich, skłonnych do łatwego zdobywania grosza i opierających swą przyszłość nie na pracy i trudzie, lecz na stosunkach i protekcjach, radzi natomiast p. Wolski tworzyć biura pracy, mające za zadanie dostarczanie zarobku potrzebującym kolegom.

„Przez organizowanie biur pracy stanęlibyśmy — pisze p. W. — wobec kolonji, jako instytucja podażi studenckiej, sumiennie polecająca dobrych pracowników, a nie przymusowych tancerzy i bawidamków. Przy pomyślnem funkcjonowaniu biur pracy potrzeba pożyczek zwłaszcza długoterminowych, zmniejszyłaby się ogromnie; zwiększyłby się zwrot krótkoterminowych. Możliwa byłaby podwyżka minimum wpisowego. Opodatkowanie na rzecz kasy — dobrze płatnych zarobków, gratyfikacji etc., — wszystko to razem dałoby nam możliwość całkiem uniezależnić samopomoc naszą od źródła dobroczynności, wyszukując ostatnią na cele kulturalne: biblioteki, czytelnie, odczyty i t. d.

Jako plus ogromny tych organizacji, wskazuje autor wielkie znaczenie wychowawcze.

„Nie mówiąc o poczuciu godności, kilkuletni czynny udział w życiu organizacji, umiejętnie realizującej wyzwoloną od naleciałości filantropijnej zasadę wzajemnej pomocy, to najlepsze przygotowanie dla przyszłego działacza społecznego“.

W artykule „Zasady organizacji“, cokolwiek może zanadto ogólnikowym, a przez to mglistym, zwraca p. W. słuszną uwagę, że sztandary nic jeszcze nie mówią, „gdzie się buduje przyszłe ludów życie“; że wielką należy zwracać uwagę, kto pod niemi staje, w jakim porządku i jakim duchem owiany.

Doświadczenie pokoleń uczy nas, jak — aż zbyt często — młodzież, stojąca pod radykalnymi sztandarami, z biegiem lat, ba! z chwilą opuszczenia murów zakładu naukowego porzuca je, przesuwając się na prawo, z czerwonej, jak burak, staje się białą, jak „alba“ księżowska.

A dzieje się tak dlatego, że głoszone pod wpływem chwilowego zapału, otoczenia kolegów, czy

uroku egzotywności, hasła nie stały się wewnętrzną treścią najgłębszą jednostki, busolą życiową, lecz szatą barwną, szatą, którą — z chwilą zmiany warunków, otoczenia — zrzuca się, jako niewygodną, nieodpowiednią.

Aby przełamać psychologię środowiska, w jakim młodzież wzrasta i wychowuje się, aby wyzbyć się wpływów szkodliwych ideologii warst uprzywilejowanych, które nieraz istnieją szczątkowo nawet w lewych organizacjach, potrzeba pracy usilnej, głębokiej i poważnej.

Każde zjawisko wewnętrznego życia młodzieży winno podlegać krytyce i analizie wszechstronnej, każdy krok nazewnątrż — sprawdzianowi potrzeb i interesów obozu pracy. Młodzież, stojąca pod sztandarem demokratycznym, musi się urabiać w formy demokratyczne, musi kształcić odpowiednio swoją psychikę tępić warcholstwo, wygórowane ambicje osobiste.

Wychowywanie i kształcenie nie tylko umysłu, lecz i woli, charakteru, wychowywanie i pouczanie nie innych, a przede wszystkim siebie — winno być pierwszym i zasadniczym zadaniem młodzieży demokratycznej i jej organu.

Wi — ski.

Niewłaściwa komenda.

Pomieszczając artykuł ten, zastrzedz się musimy, że stanowisko autora jest od naszego nieco różne. Dajemy mu jednak głos ze względu na żywotność poruszonego tematu i śmiało potraktowanie sprawy, stale dotąd omijanej. (Red.).

Znane wystąpienie biskupa Karewicza przeciwko swoim polskim djecezanom, poprzedzone niezliczonymi przejawami szowinizmu nacjonalistycznego ze strony kleru litewskiego, a ukoronowane przez ks. Gierulisa odezwaniami się do polskiej penitentki: „*Prychoditje czerez czas*“ — wszystko to wzruszyło do głębi Polaków wszelkich odcieni i stronnictw. Dotknięci do żywego w naszych najdroższych uczuciach, wszyscy burzymy się i odgrażamy. Niepomni tradycyjnej uległości względem kapłanów, nie olśnieni tym razem blaskiem infuły — choć z godnością i kulturalnie, lecz bez cienia uniżoności i bez zażenowania, wyrażamy stanowcze potępienie wprowadzaniu polityki do kościoła i powtarzamy na wszystkie tony, że kapłan stać powinien poza stronnictwami, poza waśniami partyjnymi i narodowymi, że jego powołaniem jest szerzenie moralności, nie zaś walka o przemijające ziemskie wartości.

I mamy najzupełniejszą słuszość.

Tylko — pytanie: Dlaczego to dopiero zachłanność litewska na te prawdy oczy nam otworzyła? Dlaczego dopiero wobec jawnej względem nas nieprzyjaźni przychodzą nam na usta piękne zdania o niewłaściwości polityki w kościele? Dlaczego poza tem, z pokorą prawdziwych owieczek, dawaliśmy i dajemy się wciąż prowadzić pasterzom naszym po drogach nie tylko moralności chrześcijańskiej, lecz też społecznych, politycznych, i wszelkich innych tak dalece, że powiedzieć można bez przesady, iż Polską głównie kler rządzi?

Jeżeli — pomijając kwestje mniej lub więcej przyzwolonej formy — odmawiamy księdzu litwinowi prawa agitowania na rzecz swej narodowości, to czemuż przyznajemy księdzu polakowi prawo wtrącania się i nawet kierowanie każdą sprawą ogólną? Czemu go czynimy jakby arbitrem naszego społecznego, umysłowego, narodowego i politycznego życia?

Objaw to u nas nie nowy! Nie powstał on w ostatnich czasach, gdy — jak to tłumaczą niektórzy — prześladowanie i religii i narodowości złączyło w umyśle i w sercu naszym te dwa pojęcia w jedno. Nie! Bodaj że chcąc gienezy jego dochodzić, zajęłoby wypadło aż w czasy Wazów, i w czasy reakcji katolickiej przeciwko wspaniałemu duchowi Odrodzenia, tolerancji i wiedzy, w czasy walki dogmatyzmu i despozytyzmu kościelnego z niebezpiecznymi „nowinkami“, do których to „nowinek“ zaliczone zostały równie dobrze herezje protestantyzmu, jak i odkrycia Kopernika.

Wówczas to dokonało się w narodzie polskim owo „nawrócenie“, którego owocem na zewnątrz była cała nasza dalsza polityka: wyjmowania dla innych gorących z ognia kasztanów, a wewnątrz, wrażliwostający zastój umysłowy, wygodny kwietyzm ducha, abdykacja własnego rozumu i myśli swobodnej, wyrzeczenie się najcenniejszego przywileju człowieka — przywileju sądenia i postanawiania — a oddanie się z zamkniętymi oczami pod kierunek, opiekę i na służbę Rzymowi — temu dalekiemu i obcemu Rzymowi, który miał i ma co innego do robienia na świecie, niż dbanie o dobro tego lub innego narodu.

Dokąd nas doprowadziła ta służba tak pod względem państwowym, jak i kulturalnym, to chyba widzimy jasno. Dla umysłu nieuprzedzonego, najgłośniejszą może przyczyną upadku Polski było: podporządkowanie umysłów ambicjom kleru i równoczesne zanurzenie ich w ciemność, odwrócenie myśli i pracy narodowej od celów własnych, a zwrócenie ich do celów obcych, wyciśnięcie z narodu polskiego ogromnej sumy ofiar, krwi, trudów i bogactw na korzyść postronną, sumy tak wielkiej, że już na własne potrzeby nie zostało nic.

Tak było dawniej. Tak jest i dziś jeszcze.

Nie pomogło doświadczenie, nie pomogły głosy najlepszych ludzi. Małachowscy, Kołtataje, Staszice, Śniadeccy i inni nie zdołali rozproszyć mroku, napuszczonego na umysły nasze przez politykę jezuitką. Trwamy w nim dotychczas. Gorzej nawet — pograżamy się w nim coraz głębiej.

Od lat kilku, od czasów t. zw. wolnościowych, wpływ duchowieństwa u nas wzrósł znacznie. Nie byłoby w tem nic złego, gdyby wpływ ten ograniczał się dziedziną, w której działać może i powinien. Gdyby miał na celu etyczne podniesienie dusz, łagodzenie namietności, rozpowszechnianie chrześcijańskiej idei miłości, braterstwa, równości...

Ale nasze duchowieństwo na tę pospolitą robotę nie ma czasu. Bo jest zajęta zupełnie czem innym. Musi ono tworzyć stronnictwa, wydawać czasopisma polityczne, kontrolować naukę, literaturę i sztukę.

Wiem, że mi na to odpowiedzieć można, iż duchowieństwo nasze nie jest narodowi obce, że przeciwnie, jest to kość kości i krew krwi jego. Że przeważnie pochodząc z ludu, znać musi najlepiej ów lud i jego potrzeby, że jest poniekąd najlepszą jego częścią, a więc posiada wszelkie dane, aby mu być przewodnikiem.

Tak, księża nasi przeważnie pochodzą z ludu. Dziedziczą zatem po ojcach upór, konserwatywizm

i giętkie karki, które zginać się umieją przed władzą, przywilejem i powagą wszelką „z Bożej łaski“, z kolei też giąć innych przed sobą pragną. Poza to wszakże wychowanie, jakie otrzymują, nadaje im wcześniej charakter obcy, międzynarodowy, charakter urobiony wedle jednego odwiecznego wzoru. A nadto jakie jest ich przygotowanie do działalności tak wielostronnej, do jakiej czują się powołani?

Oto chłopiec dwunasto, najwyżej czternastoletni, gdy go rodzice od małości „przeznaczają“ na księdza, albo gdy zdolnościami swymi, zwłaszcza pamięcią dobrą, zwróci uwagę uczącej go katechizmu paniienki ze dworu, lub organisty, albo gdy służąc sprawnie do mszy spodoba się proboszczowi, wreszcie gdy „cudem“ zostanie uleczony z jakiej choroby dziecięcej — taki chłopiec zostaje oddany do miasta, by się przygotował do t. zw. egzaminu aptekarskiego. Jest to egzamin mniej więcej z czterech klas gimnazjalnych, wymagający jedynie „kucia“, dobrej pamięci, a żadnego prawie rozwinięcia. Ma się rozumieć, że rodzicom, lub opiekunom, płacącym dość drogo za naukę i utrzymanie chłopca, chodzi o to, aby owe cztery klasy przeszedł w jaknajkrótszym czasie. Udaje się to często, kosztem usilnego pakowania nauki do głowy. O rozwój inteligencji, duszy, uczuć — nikomu tam nie chodzi. Bo i opiekunowie owych kwater, w których się uczą „aspiranci“ o nic innego się nie troszczą, jak o świętobliwość swoich wychowawców i o ich prędki wstęp do seminarjum. Pacierzy więc odmawia się tam dużo, a o świecie mówi się tylko tyle, że jest jaskinią zepsucia; wszelki objaw niezrozumiały dla ciemnego umysłu tłumaczy się interwencją sił nadprzyrodzonych; własny sąd o jakiegokolwiek sprawie potępia się, jako objaw pychy i buntu; obrzuca się pogardą wszelkie „ludzkie“ zabiegi: ponad wszystko wystawia się cnotę ślepego posłuszeństwa, kult hierarchji, władzy, przywileju i wytłacza się na delikatnej tkance młodocianych umysłów wyraźne, dobitne lecz niezrozumiałe *Credo*.

Tak przygotowany materiał bierze na łono swe seminarjum, urabia w tymże duchu dalej, i po latach pięciu wypuszcza w świat, jako kapłana, rządę dusz, który nietylko rozporządza wieczną nagrodą lub wieczną karą, ale i na tym świecie czuje się w prawie i w obowiązku kierować i rządzić wszystkim.

Tak. I być inaczej nie może. Kto za fundament wszystkiego przywykł uważać objawienie i łaskę, ten inaczej myśleć już nie umie. Objawienie zastępuje mu naukę, doświadczenie, trud i badania. Łaska zastępuje wysiłek i pracę. Gdy się jedno i drugie posiada, a seminarjum dostatecznie zapoznało z objawioną nauką, sakrament zaś udzielił łaski, można śmiało brać w swoje ręce wszystko — wszystko bez wyjątku. Wie się bowiem lepiej, czego światu potrzeba, od samego świata. Niema potrzeby „poznawać życia“, zniżać się do słuchania tego, co mówią i czego chcą ludzie świeccy. Czytać ich świeckie książki, dbać o ich poziome potrzeby i wogóle z nimi się liczyć. Wszystko to marność nad marnościami, a grunt, zwycięstwo nad wolnomyślicielami, masonami, tem uosobnieniem szatanów na ziemi, rozkwit religji, utożsamianej z potęgą, dobrobytem, znaczeniem i wygodami jej kapłanów.

Młody ksiądz, wychodzący z seminarjum, podobny jest do młodzieńca, któryby się wychował np. w Patagonji i prosto stamtąd przybył tu w zamiarze działania. Przez lat nieraz dziesięć, w porze rozwi-

jania się i formowania na człowieka, był on odgródzony wysokim murem od świata, od kraju, od rodziny, od wszelkiego postronnego wpływu. Przez cały ten czas, nawet podczas wakacji, był ciągle pod strażą, nie czytał gazet, nie wziął do ręki książki niezaaprobowanej przez władzę, sam nie wyszedł nigdy na ulicę, nie był w teatrze, nie widział obrazu, nie słyszał muzyki innej, jak kościelnej — słowem, nie żył własnym życiem, nie myślał własnymi myślami, nawet nie kochał poprostu, po ludzku.

Dwudziestoparoletni młodzieniec, choćby otrzymał najlepsze wychowanie i był gienjuszem, do rządów nad światem nie ma jeszcze dostatecznych kwalifikacji.

Ksiądz — co innego. Teologja, kazuistyka i homiletyka, których się wyuczył w seminarjum, wydają mu się całkiem dostateczną podstawą do wydawania sądu w każdej sprawie, zaczawszy od powikłań w sumieniach, a kończąc na kombinacjach politycznych, lub na kwestjach gospodarskich czy architektonicznych.

Dwudziestoparoletni młodzieniec, powołany do wydania sądu w jakiejś sprawie społecznej, pomimo iż wyrabiał sobie zdanie w obcowaniu z ludźmi i sam brał udział w życiu realnem, jeśli jest sumienny, będzie jednak szukał światła, będzie badał i pytał, zanim się zdecyduje i wypowie.

Młody ksiądz, chociaż życie spędził w odosobnieniu i odcięciu od realnego świata, nie wątpi o sobie ani przez chwilę. On wszystko wie. On zna świat i ludzi. On nie potrzebuje niczyich rad. Nauka nie ma dla niego żadnych tajemnic. Nic sobie z niej nie robi, a wszelkich Newtonów, Laplace'ów, Virchow'ów i Haecklów, jeśli wogóle o nich słyszał, traktuje przez nogę, nie mówiąc już o Darwinie, którego, oczywiście, ma za durnia. On wie. I dosyć.

Gdybyż taka wiara w siebie była jedynie młodzieńcem, przemijającym usposobieniem, z którego życie wykrzesze z czasem jakąś szerszą myśl. Ale nie. Wiek, który u zwykłych ludzi łagodzi fanatyzm młodości, rozszerza widnokręgi myślowe, przynosi z sobą pobłażliwość, wyrozumienie i poszanowanie bliźniego, na księdza niema wpływu. Ksiądz i z latami nie wychodzi ze swego myślowego więzienia, do którego w wieku młodzieńczym został wtrącony. Życia i ludzi znać nie może i poznawać zresztą nie ma ochoty. Nie czytuje książek świeckich: czegożby go bowiem mogły nauczyć! Nie pyta o zdanie świeckich ludzi, nie przygląda się temu, co zrobiono i co się robi na świecie — bo i poco, kiedy on i tak wszystko wie. Dla człowieka samego przez się nie ma on najczęściej żadnego zrozumienia, bo nigdy nie żył z ludźmi; widzi w nich jedynie dusze do zbawienia, a raczej szeregowców do walki o potęgę kościoła. O żadnej więc znajomości ludzi, czy też ludu mowy być nie może.

A dowodem tego są wszystkie, bez wyjątku niemal, pisma, kierowane przez księży, które byłyby równie odpowiednie dla katolików madagarskarskich, jak dla naszych polaków i litwinów. Dowodem wykłady religji po szkołach, których młodzież nie słucha i nie lubi. Dowodem chociażby każde przeciętne kazanie niedzielne, gdzie, oprócz stereotypowych gromów na grzeszników, słyszy się co najwyżej alegorje ze Starego Testamentu, lub wiadomości o nowym systemie adoracji.

W normalnie żyjącem społeczeństwie ludzie, tak mało mający z niem wspólnego, nie mogliby zachować dotąd poważnego wpływu. To też widzimy, że

na zachodzie, u narodów oświeconych, duchowieństwo albo się zgadza na rolę jedynie sług ołtarza, albo zaprzęga się całkiem po świecku do pracy, nie „nad ludem“ lecz z ludem. U nas niektóre lepsze jednostki poszły już tą drogą, że wspomnę szanowne imiona ks. Wawrzynika, Kowalskiego, Blizińskiego i paru może innych. Garść to wszakże bardzo nikła w ogólnej masie duchowieństwa naszego, które woli działać dawnym a wypróbowanym sposobem, usypiając umysły, paraliżując wolę, a wyrabiając bierne poddanie w oczekiwaniu cudu. Nieszczęsne zaś społeczeństwo nasze, jeszcze za czasów pozornej wolności wzięte przez nie w niewolę, a dziś skołatane nieszczęściami i tonące w ciemnocie, z pod tej opieki uwolnić się nie umiało. Owszem, coraz bardziej jej ulega. Posłuszeństwo swe, pokorę i wyrzeczenie się własnego sądu upiera się nazywać religijnością, przywiązaniem do wiary ojców i kultem dla narodowych tradycji. I za nic odróżnić nie chce religii od jej przedstawicieli.

Nawet zdecydowani ateusze, którzy sami uwolnili się dawno od wszystkich pięciu przykazań kościelnych, na głośną krytykę kleru odważyć się nie mogą w tem przekonaniu, że byłaby to zdrada narodowej sprawy. Co więcej, ludzie o prawdziwie polskich uczuciach, oddający nieraz wszystkie siły i żyjący dla przyszłości narodu, nie wahają się tejże przyszłości powierzać tym, dla których z natury rzeczy sprawa polska stać musi na drugim planie. Biorą jako tarczę i sztandar dla Polski to, co polskiem nie jest i być nie może.

I nie widzą niebezpieczeństwa dla sprawy narodowej w powierzaniu jej tym, dla których lada wskazówka z Rzymu jest i być musi decydującą — którzy, niezależnie od tego, że sami przygotowani do działalności politycznej i społecznej nie są, mogą w każdej chwili być wyższym rozkazem zmuszeni do odstepstwa.

I nie czują, że utożsamiając polskość z katolicyzmem, czynią sprawę polską zależną od polityki Watykanu. A polityka ta — jakieśmy się już nieraz przekonywali w ciągu szeregu wieków, dziś jest z nami, jutro przeciwko nam. Niedawne zamknięcie dyplomatyczne Rzymu po głośnych zajściach w kościele św. Pawła w Berlinie jest jednym z ostatnich, a chyba dość przekonujących dowodów, iż Kurja rzymska nie zawsze bywa obroną prześladowanych, kierując się interesem własnym.

Trzeba więc niepospolitego zaślepienia, aby tego wszystkiego nie widzieć.

Bodajby obecne zacięcie z nacjonalistami litewskimi w sutannach otworzyło nam oczy nie tylko w stosunku do nich, lecz i na całą niewłaściwość oddawania rządów narodu i duchowej jego istoty w ręce tak niepowołane, tak obojętne, tak obce.

Bodajby nas skłoniło do gorliwszego brania własnych spraw we własne ręce, i położyło koniec hańbiącej nas abdykacji z woli i rozumu na rzecz nie naszej idei.

Eljan

Altana.

*Wcisnięta w kąt ogrodu, u lipy podnóżka,
Pod ciężkiem winogrodu brzemieniem przysiadła,
Jak dobrotliwa babcia, altana staruszka
Na skroni moją rozgrzaną chłodne cienie kładła.*

*A kiedy, kołysany cichym szmerem liści,
Usiadłszy nad atlasem, w tęsknocie dziecinnej
I dziękując do wyjątków greckich nienawiści,
Snutem plany ucieczki w świat daleki, inny —*

*Wtedy dziwnymi czary winogrodu sploty
W zwisające po masztach zmieniały się reje
I niby wielki labędź, w białych żagli krasie*

*Altana, jak fregata pod słońca blask złoty
Wśród huku dział płynęła po całym atlasie,
Aby w bitwach zwycięskich zmieniać świata dzieje.*

Aleksander Naworski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Wacław Sieroszewski. „Nowele“ — (Powrót — Wachlarz japoński — Jak Gryf Mostowski budował młyn). Kraków 1914, spółka nakładowa „Książka“. Składy główne: Warszawa, J. Mortkowitz (księgarnia G. Centnerszvera i S-ki), Lwów, H. Altenberg, G. Seyfarth, E. Wende i S-ka, New York, The Polish book importing.

Książki Sieroszewskiego — to zdrowa, ożywcza karma dla umysłu i ducha; choć smutne — krzepią, budzą wiarę w istnienie szlachetnych pierwiastków w duszy ludzkiej.

Silne przejścia życiowe rozszerzyły światopogląd autora znacznie po nad zwykłą miarę; przedewszystkiem nauczyły zrozumienia wszechbólu. Miłość dla kraju stała się dlań źródłem nie jednostronnego szowinizmu, lecz natchnieniem czystym i podniosłym, które sprawę bliską rozumie wraz ze sprawą ogólną tych, co cierpią i walczą, ciemieni przez siłę.

W pracach autora ból nad losem naszych wygnańców i osiedleńców łączy się w zgodnym akordzie ze współczuciem dla biednych, ciemnych, wyzyskiwanych jakutów. Z wzajemnego tego spółzycia na tle groźnych syberyjskich przestrzeni wydobywa autor obrazy, pełne plastyki, interesujące egzotycznością, a jednocześnie związane z najserdeczniejszą nicią życia naszego.

Czasem wspomnienie budzi obrazy pełne grozy, o dźwiękach boleśnie tragicznych; często jednak optymizm autora pozwala i z tego środowiska wydobyć pogodę i poezję, snuje życie codzienne, w prymitywnej formie nie pozbawione uroku, a będące w bliskim kontakcie z surową, groźną syberyjską przyrodą.

Po tundrach syberyjskich, tajgach obleśnych, jeziorach, śnieżnych przestrzeniach i wartkich nurtach Leny — dostał się autor nad Sekwanę, w środowisko gwarne Paryża. Przeskok olbrzymi. To jedyne w świecie miasto, pochłaniające i asymilujące wszelkie indywidualności — co uczyniło z Sieroszewskim? Oto zwiększyło w nim dotkliwą tęsknotę za krajem. Pośród bogactw wiekowej kultury przeżywa on powtórnie swą dawną włóczęgę, mając oblicze zwrócone wciąż ku swoim. Życie syberyjskie jest dlań niewyczerpaną skarbnicą leitmotywem, snującym melodię duszy. Tęsknota za krajem odzwierciedlenie znajduje i w ostatnim zbiorze nowel.

Oto Karski („Powrót“) zwiastuje żonie szczęśliwą nowinę, że nareszcie wolno im powracać do kra-

ju. Związane z tem wypadki stanowią treść noweli. Karscy czynią gorączkowo przygotowania do podróży, rozdają niewielki swój dobytek, żegnają przyjaciela-sasiada, towarzysza niedoli i śpieszą, pędzą co sił w koniach, by zdążyć na ostatni, odchodzący przed sezonem zimowym statek. Po dwudziestu czterech godzinach szalonej jazdy ironja życia każe im oglądać zdala dym, uchodzącego parowca. Są spóźnieni. Co czynić? Zimować tutaj? Nie, na to sił im by nie stało. Konieczność liczenia się z groszem, obawa, by nie nadszedł jakiś nowy rozkaz, kasujący poprzedni — zmuszają ich korzystać z najprymitywniejszego sposobu lokomocji. Pojadą barką towarową w górę rzeki wraz z kupcami, przemycającymi, zdaje się, syberyjskie złoto, ciągnięni przez siłę pociągową ludzką, przez miejscowych holowników, oryli, którym szleje wrzynają się w piersi, którzy, wyzyskiwani przez przedsiębiorcę, rozpijani, za lichą zapłatę ciągną tę ich niejako symboliczną łódź życia. Podróż ta pozwala rozwinąć autorowi — na tle malowniczych obrazów przyrody — dwie cechy zasadnicze, walkę z sobą w duszy Karskiego wiodące. Oto chwilami budzi się w nim „burzuj“, który chciałby zaznać choć trochę bezstroskiego życia, uspokoić sumienie swe sofistematami; to znów podróż ta odkrywa mu najzupełniej realnie poczucie krzywdy społecznej, wyzysku, do których sam się przyczynia.

Na pewnych kompromisach z zasadami sam się łapie i nad tem boleje. Gdy oto oryle przed wyruszeniem w drogę buntują się, żądają podwyższenia płacy, Karski drży, że to ich może zatrzęsć, plan podróży zniweczyć. Usprawiedliwia się jednocześnie wobec innego osiedleńca, zapalonego teoretyka Leona, który, widząc w danym wypadku wyzysk pracy przez kapitał, bunt oryli podtrzymuje.

„Widzisz, — mówi doń Karski — gdybym tak jak ty rozumował, nigdybym stąd nie wyjechał“. A potem zaraz, ciszej: „Cierpię, Leonie, nie uwierzysz, jak cierpię, gdyż pojmuję, że początek takich rozumowań, to początek słabości, ale pomyśl, co by się stało, gdyby teraz wybuchła tutaj awantura“...

Wolno, wolno posuwa się barka. Miasto niknie w oddali, nikną i wierzchołki, otaczających je gór, szeroko rozlewa się srebrna wstęga wody, słońce wylęca nadbrzeżny piasek, nikła zieleń stanowi obramienie. Holownicy zgięci w pałak, z liną przez ramię — brną po piaskach, pośpiewując:

„Oj dębino! huknijmy wraz!!...“

A gdy słońce się kryje za niskie wikliny, mrok gęsty ściemnia wodę — rozkładają się oryle na wąskiej łasze pobrzeżnej, rozpalają ognisko i — hukając, krzycząc, pijąc wódkę — gawędzą, klóć się, opowiadają krwawe dzieje, wreszcie — znużeni zasypiają. Ogromnie plastycznie zarysowane są tu dzikie postaci oryli. Ich całkowite rozkiełznanie swego „ja“, uwidocznione choćby w takim śpiewie chóralnym, dzikim, niepowstrzymanym, w którym wyczuwa się potężna spółbieżność głęboko nurtujących instynktów, gotowa zgnieść, zniszczyć, zdeptać wszystko — ujęte tu znakomicie. Idzie śpiew dziki z szeroko rozwartych ust, rozpęczniałych gardzieli, drgają przytem mięsne ramion, piersi wznoszą się gwałtownie, nogi przytupują. Jest coś przerażającego i potężnego w śpiewie ich, w postaciach roślących, barczystych, uwłosionych, napoły nagich, o ciele zżartym przez słońce i wiatr. Praca ich ciężka, zarobek lichy, życie na włosku, dola cała w ręku zręcznego, rozpajającego ich przedsiębiorcy. A jednocześnie jakąś wrodzoną, prymitywną widzi się tu uczciwość. Wszak los nie-

licznych podróży w ręku ich spoczywa. Mogą bezpiecznych dowieść na miejsce, lecz równie dobrze mogliby w nurty Leny rzucić. Niejednego nawet nęci spodziewane złoto kupców jadących. Więc coś kuszącego w niejednym kielkuje, i właściwie ów instykt wrodzonej prawości musi być silny, jeśli pokusę precz odrzuci, a w ryzach utrzyma gromadę. On to sprawcą, że barka szczęśliwie doholuje. Karski w tem dopomoże. Nie może on znieść swobodnie myśli, iż inni w pocie czoła nań pracują, gdy on tyje i w leniwym bezczynnie dni spędza. Więc któregoś dnia wprzega się w rząd holowników, staje z nimi do wspólnej pracy, początkowo przyjmowany przez nich z szyderstwem, potem — z sympatją. Mdleją mu z wysiłku ramiona, puchną okaleczone nogi, szleje wrzynają się w ciało, lecz Karski w pracy nie ustaje. Czuje moralne zadowolenie w tem połączeniu się, zespoleniu w pracy. Przedsiębiorca, a szczególnie kupcy patrzą nań niechętnie. Obawiają się, że zbuntuje to oryli. „Od tego może się we łbie chamom pomieszać — mruży kupiec Bryłkin — słyszana rzecz, żeby pasażerowie pomagali holownikom?“ Więc wieczorem, gdy Karski powrócił do łodzi, próbuje mu to wyperswadować.

— Co panom to szkodzi? — pyta Karski.

— A szkodzi. Ta hołota gotowa pomyśleć, że jej się należy, że i my obowiązani jesteśmy jej pomagać... Zaczną krzyczeć, w końcu każą i nam ciągnąć, a sami siadą na nasze miejsca. Tutaj miejscowość pusta. Tutaj w ich mocy jesteśmy. Gdy im się we łbie przewróci, gotowi, Bóg wie, na co się targnąć. Nikogo i nic nie uszanują. Niema dla nich świętości! Dlatego nie można im pozwolić wychodzić z koleji! Niech pamiętają, czem są, niech ciągną i basta!“

Lecz Karski był nieprzekonany. Wkrótce też pomoc jego okazała się niezbędną. Przebywali coraz to dziksze okolice. Dolina rzeki się zwężyła. Znikły szerokie dale. Nurt rzeki rwał potężnie po wielkich przywodnych głazach. Holownicy zmuszeni byli brnąć nieraz w wodzie, po wąskim występie kamiennym, obok przewalały się i kotłowały wiry, sznur „półki“ naprężał się jak struna. Sadyb ludzkich nie spotykano, parokrotnie tylko wyminięto tratewki, na których płynęły jakieś podejrzanе indywidua. Raz nurt rzeki przyniósł im topielca. Płynął opuchły, straszny. Oryle wieczorem opowiadali krwawe dzieje tych stron dzikich, strasznych, pełnych ludzi-szakali, kontrabandzistów, opryszków. „Dawniej, bywało, w tajdze ku jesieni pod każdą kłodą trup leżał. Tu, w tej krainie każda grudka ziemi krwią oblana...“

Do obecności Karskiego przy półce wszyscu już przywykli, uznano to za rzecz naturalną i gdy raz zaspiał zmianę — przedsiębiorca zbudził go bez ceremonji.

Mimo szalonych trudności Karski rad, że oto sam kieruje, ciągnie barke, wiodącą go w świat, do swoich, do nowych dni szczęścia i radości.

Powrót do kraju jest treścią i drugiej noweli. Tutaj oto Gryf-Mostowski, który wysiedział już wszystkie kary i lata osiedleńcze, zyskuje również prawo powrotu, lecz by mógł wyruszyć, musi pierwej zyskać paszport; na to zaś potrzeba, by został przyjęty w poczet członków jakiejś gminy. Że zaś „w każdym paragrafie — jak dowodzi sekretarz naczelnika powiatu — jest niejasność i w tem mądrość cała i wola władzy się ukrywa“ — więc długi czas próżne są zabiegi biednego osiedleńca. Przypadek jednak szczęśliwy wybawia go. Wójt gminy zbudować

kazał młyn, młyn ten jednak chodzić nie chce; więc następuje umowa: niechaj mądry osiedleńiec puści go w ruch, a już wójt słowa dotrzyma, paszport będzie. I oto mamy przygody, jak Gryf-Mostowski młyn budował.

Opowieść ta snuje się z prostotą, a nawet z pogodnym humorem. A przecież zakończenie jej nie jest wolne od tragizmu. Starania i zawody tak wyczerpały, zjadły energię biedaka, że gdy wreszcie pożądaną papier mu wręczają, on cieszyć się nie jest już w stanie.

Przyroda jest zawsze dla Sieroszewskiego ukojeniem. Przez lat czternaście, które spędził hen, tam na północy — czerpał on z niej otuchę. Wzyl się w nią, poznał, ukochał. Nawet straszne tajgi syberyjskie, nawet zamieci śnieżne, chychające na człowieka — nie różniły go z nią. Zimne i okrutne nie miały jednak w sobie drapieżności szakali ludzkich, nie uderzały w to, co blizkie sercu ludzkiemu i co, dotknięte — najboleśniej rani. Śmierć, więc śmierć; walka, to walka — w każdym razie z możliwością zwycięstwa, zatem choć wyczerpująca fizycznie, lecz nie gnębiąca ducha. Owszem, to borykanie się z nią jest nierzadko dobrodziejstwem, rozrywa obłąkańczą, utęsknioną myśl, nie pozwala zasnąć energii, a o to właśnie autorowi najbardziej chodzi — wszystko, byle nie upadek ducha.

Wacława Kiślańska.

PRASA POLSKA.

— W „Kurjerze Lubelskim“ ciekawe światło rzuca p. Leon Rygier na obecny stan umysłów inteligencji polskiej, na prowincji Królestwa osiadłej.

„Bardzo często dają się słyszeć zdania, że inteligencja na prowincji jałowiej, popada w gnuśność, zasklepia się w obrębie interesów fachowych i osobistych, i zamiast dawać przykład działalności społecznej warstwom nieoświeconym, przeciwnie, staje się raczej kłoda na drodze postępu.

Była chwila (w okresie porewolucyjnym), gdy zdawało się, że napięte fale życia rozleją się po za granice wielkich ognisk kultury. Na prowincji powstawać zaczęły pisma, obliczone nie tylko na ogłoszenia; jęły się krzewić idee samopomocy i kooperacji; rozbrzmiały hasła podniesienia poziomu kultury. Ale za małemi wyjątkami, wszystko to już należy do przeszłości; inteligencja prowincjonalna sprzeniewierzyła się swemu chwilowemu zapalowi.

Bo kto właściwie należy do grona inteligencji prowincjonalnej? Są to zwykle ludzie o ściśle określonych zajęciach, wymagających wyższego wykształcenia, i zajmujący określone społecznie stanowiska, których utrzymanie wymaga nieodzownie pewnej zdolności do kompromisów z otoczeniem. Ideologia tych ludzi z natury rzeczy odznaczać się przeto musi nieokreślonością i ustępliwością, prowadzącą za sobą najczęściej zdradę wyznawanych w młodości ideałów i opuszczenie sztafetu przed wyższą siłą względów praktycznych. Jak się odbywa proces takiego przystosowania, świetnie opowiada nam o tem Żeromski w „Siłacze“ (typ doktora).

Nigdy jednak nie widzieliśmy takiego sfilistrowania inteligencji, takiego usunięcia się jej na bok przed standardnym ruchem gromad drobnomieszczańskich, takiego rozpanoszenia się wśród niej kompromisu z klerykalizmem, konserwatyzmem i antysemityzmem, jak obecnie. Nigdy nie widzieliśmy takiego żalostnego stchórzenia przed odpowiedzialnością za własne przekonania, takiej, jednym słowem, upokarzającej postawy wobec tłumu, jak w porze obecnej reakcji i obniżenia ogólnego poziomu etycznego i intelektualnego. Całe mnóstwo ludzi, w gruncie rzeczy potępiając barbarzyńskie rządy sklepi-

karzy i aferzystów pseudopatriotycznych, nie śmie wobec nich puścić pary z ust nie tylko z obawy o własne stanowisko i dobrobyt, lecz i z trwogi śmiesznej przed terorem rozzuchwalonych obrabiaczy opinii publicznej, którzy, korzystając z bierności swoich ofiar, zyskują niespodzianie władzę w zdezerjentowanym społeczeństwie. Stąd płynie powszechna niwelacja do poziomu tak niskiego, jakiego już oddawna nie znaliśmy w Polsce.

Jakież to upokarzające dla elity umysłowej naszej prowincji to ustępowanie na każdym kroku przed byle miernotą, przed byle hołyszem, który, jako jedyną przewagę nad otoczeniem, posiada większą od innych arogancję i bezczelność. Jakże to przykre dla tych jednostek, które zachowały jeszcze resztki poczucia godności osobistej i dążeń lepszych, a nie są w stanie nigdzie znaleźć oparcia.

Instynkty trzodowe są zbyt silnie zakorzenione w istocie ludzkiej, aby można było je wyrwać z korzeniami. Dlatego też, jako wyjście z obecnego położenia widzą dla inteligencji prowincjonalnej jedną radę; zrzeszenia się w organizacjach w celu wytworzenia takiej atmosfery społecznej, w której możnaby było żyć bez trwogi i upokorzenia. Inaczej — życie stanie się wprost nieznośnym, a inteligencja prowincjonalna zasłuży sobie w przyszłości na pamięć wysoce niezaszczytną“.

— Wręcz przeciwnie na inteligencję prowincjonalną zapatruje się organ Dem. Narodowej, który niezadowolony jest z inteligencji stołecznej, warszawskiej. Pismo to zaznacza, że kiedy fala rewolucyjna zaczęła opadać, dokoła stronnictwa skupiły się żywioly, nie mające „nawet początków w zakresie politycznego myślenia“. Zastępy te „Gaz. Warsz.“ nazywa *krajem* i pretensję ma do inteligencji warszawskiej, która z owym krajem w większości swej nie poszła.

„Dla niej—powiada organ p. Dmowskiego—demokraci narodowi byli to uzurpatorowie stanowiska i wpływów, które jej się należały. Ludziom, którzy się uważali za kwiat intelektualny kraju, którzy w zamkniętym światku dotychczasowego swego życia utrwaliли się w przekonaniu o swojej wyższości, którzy byli pewni, że wszystko wiedzą i wszystko rozumieją, i nie przypuszczali nawet, że jest poza nimi w kraju jakaś wiedza i jakieś metody myślenia im obce, a wartość jakąkolwiek mające, ludziom tym wydało się niesłychanym zuchwalstwem, że ktoś krajowi usiłuje dać kierownictwo, od nich nie pochodzące. Nie zadali sobie nawet pytania, co jest warta w nowych warunkach Demokracja Narodowa, jej program, jej myśl polityczna, jej energia i zdolność organizacyjna, co kraj na jej kierownictwie zyskuje, a co traci — jeno z góry uznali ją za intruza, za niepowołanego spółzawodnika, podkopującego ich ustalone wpływy, i zajęli bez wahania stanowisko jej przeciwników, dążących do obalenia jej wpływu za wszelką cenę.

Zaczęła się tedy inteligencja warszawska politycznie organizować. Zrodziła na tem polu dwoje dzieci: obóz postępowy i t. zw. „Spójnię“. Dzisiaj — *nec locus ubi Troia fuit...* „Spójnia“ bodaj od początku nie wiedziała dobrze, poco istnieje. Jedyną rzeczą, jaką wiedzieli napewno jej uczestnicy, było, że nie chcą należeć do Demokracji Narodowej; nie mieli wszakże żadnego pojęcia o tem, na czym samodzielny żywot polityczny oprzeć. Obóz postępowy trzymał się wcale długo, to rozpadając się, to łącząc napowrót, bo miał jeden, bardzo realny punkt programu: bić Demokrację Narodową zastępami żydów. Oparcie o masę żydowską pozwoliło mu wystąpić w akcji wyborczej czynnie i stać się w Warszawie groźnym nawet przeciwnikiem narodowców. Z chwilą wszakże, kiedy Demokracji Narodowej udało się wyjaśnić ostatecznie rolę żydów w naszym kraju i rozwiać wszelkie wątpliwości, w opinii pod tym względem panujące, kiedy wybitniejsi przedstawiciele „postępu“ sami zrozumieli, że za daleko zostali wciągnięci w kałbę żydowską, obóz postępowy rozsypał się w gruzy.

To ostateczne wyjaśnienie sytuacji inteligencja warszawska sama zresztą przyspieszyła. Skoncentrowawszy się bez różnicy odcieni dla przeprowadzenia wyborów do czwartej Dumy w porozumieniu z żydami „nie-nacjonalistami“ i dla obalenia kandydatury najprzykrzejszego z uzurpatorów, Dmowskiego — drugi cel swój osiągnęła, kandydaturę Dmowskiego obaliła, ale przez żydów została wystrychnięta na dudka, za co zachowała

do nich żal nieukojujony, odzywający się i dziś często z jej szeregów.

Zdawałoby się, że po tych wszystkich doświadczeniach w walce z demokracją narodową, w przeciwstawianiu się jej dążeniom i w nieudanych wysiłkach ku własnemu zorganizowaniu się politycznemu — w kołach inteligencji warszawskiej obudzi się nareszcie świadomość, że są ludzie, którzy ją cokolwiek wyprzedzili w wiedzy politycznej, w metodach politycznego myślenia i w zdolnościach organizacyjnych, że na gruncie tej świadomości zjawi się pytanie: czy nie należy zmienić stanowiska wobec Demokracji Narodowej, czy, zamiast walczyć z nią i przeszkadzać jej w organizowaniu narodowej polityki, nie należy z nią współdziałać w akcji politycznej i w organizowaniu do niej opinii kraju?

Gdzie tam! Pretensje do niej, chęć przeszkadzania jej pozostała prawie w tej samej sile. Tylko przekonawszy się o jałowości swych wysiłków organizacyjnych, rozczarowawszy się do prób stworzenia partji, zdolnych przeciwstawić się Demokracji Narodowej, coraz chętniej dosiada się konika bezpartyjności. Ci sami ludzie, którzy do niedawna wielkim głosem przemawiali w imieniu partji, mającej powalić „endecję“, dziś zapewniają, że niema jak bezpartyjność. Kiedy my nie umiemy stworzyć żywotnego stronnictwa — partje są niepotrzebne; kiedy my się nie umiemy politycznie zorganizować — niech żyje dezorganizacja!...

„Gaz. Warsz.“ nie rozumie widocznie, że przegrana postępówców warszawskich w walce o żywioły „nie mające początków w zakresie politycznego myślenia“ wcale przegrana nie jest. Stronnictwo zaś, które zdołało elementy te w swoje sieci złowić, żadnej inteligencji imponować nie może, ani też nie potrafi wmówić jej, że powołane jest do wodzenia za nos narodu.

GŁOSY ROSYJSKIE.

Wybory wołyńskie.

Wybory ziemskie na Wołyniu objęli pod komendę swą „związkowcy“, a jakich mają się sposobów i w jak sprzyjających sobie działają warunkach, opowiada nam „Utro Rossji“.

„Na Wołyniu obecnie — czytamy tutaj — wśród białego dnia, kierowani przez mnichów poczajowskich, związkowcy z taką jawną bezczelnością łowią w sieci swe wyborców, iż wprost dziwić się wypada, bezkarności czegoś podobnego.

„Zebrania ziemskie wprost stały się własnością leaderów związkowych i kandydaci na radnych są wskazywani przez herbaciarnie związkowe. Nie zadawając się zwykłymi związkowymi sposobami walki przedwyborczej w rodzaju denuncjacji, zastraszania i t. p., w gub. wołyńskiej związkowcy rozpowszechniają po wsiach pogłoskę, że „panowie płacą za mało podatków“. Obawiając się ekscesów ze strony ciemnych mas włościańskich, włodzimierski na Wołyniu zarząd miejski począł rozdawać po wsiach drukowane zaprzeczenia podobnym bredniom. Na skutek denuncjacji lidera związkowców, Kraszennikowa, gubernator uznał rozsyłanie „literatury polemicznej“ za bezprawie i wszczął proces karny przeciwko ziemstwu.

„O kandydatach na radnych zbierano takie szczegółowe i wszechstronne informacje, jak gdyby kandydaci ci zamierzali rozpocząć służbę w szeregach policji politycznej“.

„Z zadziwiającym sprytem, zależnie od okoliczności niemca przeistaczano w „osobę pochodzenia rosyjskiego“, lub czecha — w Niemca. Takich anegdotycznych faktów prasa prowincjonalna zarejestrowała mnóstwo...“

„Prawdopodobnie i sam twórca ziemstwa zachodniego — kończy „Utro Rossji“ — nie spodziewał się nawet, iż na miejscu znajdzie tak pojętnych uczynków“.

Rasputin.

Młody, jurny i świętobliwy „starzec“ Rasputin, którego tajemniczy wpływ na wewnętrzną i zewnętrzną politykę państwa nie przestaje być zjawiskiem dla całej Europy sensacyjnym, padł ciężko raniony przez jedną z dawnych swoich zwolenniczek.

U łóża nieokrzesanego analfabety zjawiła się elita arystokracji, przedstawiciele najwyższych sfer, a cała prasa rosyjska przepelniona jest szczegółami z życia i działalności Griszki Rasputina.

Z tego powodu „Rus. Słowo“ zwraca uwagę, że w całej tej historii sama osoba bohatera schodzi na plan dalszy.

„Rasputiny, Heliodory i inni „bohaterowie okoliczności“, czy są oni oszustami, czy też szczerymi fanatykami, mogą o tyle tylko interesować społeczeństwo, o ile są jaskrawymi wskaźnikami moralnego stanu tej warstwy, która wytwarza scenę i kulisy dla wszelkich ciemnych osobistości, niespodziewanie wpływających na powierzchnię. Wolność słowa niestety dotąd znajduje się w Rosji w takim położeniu, że oświetlić zgodnie z prawdą historję przybycia Grzegorza Rasputina ze wsi Pokrowskoje do salonów petersburskich — w żaden sposób nie można. Karjera Rasputina, jako fakt z dziedziny życia społecznego i politycznego naturalnie kiedyś, z czasem będzie wyjaśniona przez historyka życia rosyjskiego, naszego dziwnego okresu.

„Wprawdzie posiadane przez nas wiadomości wystarczają dla stwierdzenia przynajmniej, iż cała popularność Rasputina oparta jest na tem, że pokrowski „muzyk“ zainteresował swą osobą wysokie koła arystokratyczne i wpływowe salony petersburskie.

„Wystarczyło Rasputinowi zdobyć wpływowych protektorów, a „starzec“ ten stał się „potęgą“; do niego zaczęli zwracać się ministrowie i dygnitarze — wszyscy, kto potrzebował załatwić tę, lub inną sprawę“.

Drzwi mieszkania Rasputina nie zamykały się... Nie było słyhać o szczególnych cnotach „starca“, ale „w kołach towarzyskich w Petersburgu i wśród zwolenniczek Rasputina za to wyraźnie zaczęto mówić, iż w sprawie upadku gabinetu Kokowcowa nie obyło się bez wpływów Rasputina“.

Rasputinowi zaczęła nawet ciężać niezwykła popularność i ustawiczne prośby o „protekcję“. Naprawdę synod obawiał się, iż Griszka Rasputin stanie się nowym herezjarchą. Jego bezsensowne mowy w salonach petersburskich żadną herzją nie groziły.

„Rasputin poprostu jest kombinacją „polityczną“ kamaryli salonowej — intrygą „wielkiego świata“, opierającą się na bardzo złożonym splocie stosunków. Sztuka polityki salonowej na tem właśnie polega, by odpowiednio wysunąć „osobę“ i dokoła niej spleść cienką sieć wpływów“.

„Rasputin — jest charakterystycznym przeżytkiem państwa „dawnego porządku“, gdy politykę urabiano nie w instytucjach państwowych, nie pod kontrolą gwarancji prawnych, lecz w drodze osobistych stosunków, przy pomocy „ludzi dodatkowych“, mówiąc słowami hr. Panina.

„Salonowa intryga z Rasputinem — jest spóźnioną próbą wskrzeszenia w Rosji konstytucyjnej smutnej tradycji tych intryg, które były tak charakterystyczne dla historii politycznej starej Europy“.

Chyba bardzo, bardzo starej.

W każdym razie niesłychana karjera tego prostaka i szarlatana daje nam pewne pojęcie o charakterze sił, w których ręku losy nasze obecnie spoczywają.

Na widnokregu.

Okazuje się, że wojna bałkańska nie tylko nie rozwiązała kwestji bałkańskiej, ale właśnie postawiła ją dopiero na porządku dziennym spraw międzynarodowych.

Położenie ks. Wieda jest rozpaczliwe. Powstańcy, działający w duchu interesów trójporozumienia, zdobywają coraz nowe pozycje, docierają do Walony i atakują Durazzo, gdzie część ludności jawnie im sprzyja. Rozeszła się też wiadomość, że „mbret“ został już zamordowany. Wieść ta nie potwierdziła się, ale niemniej karierę ks. Wieda uważać można za skończoną.

Dla Włoch i Austrii wyniknąć stąd musi szereg kłopotów.

Drugą sprawą bałkańską jest zaostrzenie się stosunków austriacko-serbskich. Rozogniła je do czerwoności nagła śmierć posła rosyjskiego w Belgradzie, Hartwiga, który zmarł w mieszkaniu posła austriackiego. Serbowie, przywykli do prostego załatwiania obrachunków politycznych, jeśli oskarżać bar. Giessla o otrucie Hartwiga i wykradzenie mu ważnych dokumentów. Wersja ta była kolportowana tak głośno, że w Wiedniu uznano za konieczne, ogłosić komunikat urzędowy, zaprzeczający pogłoskom, jakoby Hartwig spożywał cokolwiek w poselstwie austriackim.

W rezultacie pogranicze austriacko-serbskie najeżyło się od bagnetów, a rząd w Belgradzie użyć musiał energicznych środków, by zapobiedz pogromowi podanych Franciszka-Józefa.

Nawet dyplomaci nie tają, że sytuacja jest wysoce naprężona. Bawiący w Wiedniu (na naradzie z ministrem spraw zagranicznych) bar. Tisza wprost oświadczył pewnemu dziennikarzowi, że nigdy jeszcze stosunki austriacko-serbskie nie były tak złe i niepokojące.

W wiedeńskich kołach politycznych przeważa opinia, że wobec jawnie prowokującej postawy Serbji, nie uda się uniknąć starcia zbrojnego. Koła owe są zdania, że wojna wybuchnie lada chwila, gdyż w interesie Austrii jest poskromienie Serbji przed wprowadzeniem w czyn unji serbsko-czarnogórskiej.

Równocześnie z zatargiem tym zaostrza się konflikt grecko-włoski — tak, że w Rzymie liczą się podobno z możliwością wybuchu wojny. Motywem jej byłaby niewątpliwie sprawa południowej Albanji. Na tę bowiem część księstwa zarówno Włochy, jak i Grecja ostrzą zęby.

Widzimy więc, że Bałkany są dziś piętą achillesową trójprzymierza. Ze zaś poza państewkami półwyspu stoją mocarstwa przeciwnej konstelacji — pokój europejski znów wisi na włosku.

I oto nagle konieczność zmusza męherów trójporozumienia do obmyślenia akcji wspólnej, ewentualnie bliskiej. Rozluźniająca się ostatnimi czasy przyjaźń francusko-rosyjska wymaga odświeżenia. Jedzie więc Poincaré do Petersburga, otoczony sztabem polityków republikańskich.

Tą wizytą ma on nie tylko odświeżyć przyjacielskie sentymenty, ale przygotować grunt dla mocniejszego scementowania trójporozumienia przez wyswatanie ścisłego przymierza Rosji z Anglią. Wobec sytuacji obecnej, można spodziewać się, że cel ten osiągnie, jakkolwiek prasa zwraca uwagę na mnogie przeszkody: na kwestję perską, różniącą Londyn i Petersburg, na berlińskie wpływy i sympatje nad Nową — etc.

Ale na to istnieje właśnie sztuka dyplomatów, by umieć godzić przeciwieństwa, a kiedyindziej klócić zgodę.

W każdym razie w prasie niemieckiej widać mocne zdenerwowanie, wywołane zarówno planami Poincaré'go, jak i całym obecnym zwrotem, korzystnym dla przeciwników trójprzymierza, na terenie stosunków międzynarodowych. Tryumfy oręża francuskiego w Maroku z pewnością też wpływają na pogorszenie humorów nad Szprewą.

Zaburzenia robotnicze.

Szósty już tydzień trwa strejk robotniczy w Baku. Z ogólnej liczby 32,000 robotników porzuciło pracę 26,000. Bezrobocie to grozi pozatem zupełnym powstrzymaniem żeglugi na Woldze, zatrudniającej 200 tys. ludzi.

Ostatnio wzburzyło umysły strejkujących rugowanie ich przez przedsiębiorców z mieszkań fabrycznych. Właściciele kopalń wytoczyli w tym celu 5449 spraw, a uzyskawszy wyroki, przystąpili do eksmisji.

Przedewszystkiem usunięto partję robotników, poddanych zagranicznych, którym władze poleciły opuścić Rosję. W odpowiedzi na to strejk rozszerzył się jeszcze. D. 4 (17) lipca stanęły drukarnie; ani jedno pismo nie wyszło.

Właściwy charakter strejku nie został dotąd należycie wyświetlony. Obok bowiem postulatów ekonomicznych, wysuwane są przez robotników motywy polityczne. Do Baku pojechał wice-minister Dżunkowski, otrzymawszy nadzwyczaj szerokie pełnomocnictwa z prawami generał-gubernatora. W razie, gdyby uznał on, że strejk ma charakter polityczny, polecono Dżunkowskiemu użyć wszelkich możliwych represji dla stłumienia ruchu, a ostatecznie zastąpienia robotników przez żołnierzy.

W Petersburgu już od szeregu miesięcy normalny bieg pracy w fabrykach przerywają wciąż strejki o charakterze przeważnie manifestacyjnym i wyrażające protest przeciw tym lub owym przejawom istniejącego kursu. Ostatnie strejki takie wywołane były przez proces adwokatów i represje, stosowane do prasy robotniczej.

Również na znak protestu przeciw zaburzeniom w Baku wybuchł d. 4 (17) lipca strejk robotników petersburskich, który miał trwać trzy dni.

Niespodziewanie przybrał on rozmiary znacznie szersze. Do bezrobocia przystąpiło daleko więcej pracowników, niż w strejkach tych zwykle bierze udział, a manifestacje wywołały starcia tłumu z policją, tudzież ofiary w zabitych i rannych.

Ogłoszony z tego powodu komunikat urzędowy pośada

„D. 4 lipca od rana i wciągu dnia przerwali pracę robotnicy fabryczni i drukarscy w liczbie około 30 tysięcy ludzi, a większa część ich, wyszedłszy na ulice, usiłowała śpiewać pieśni rewolucyjne, rozpędzając po drodze nie strejkujących jeszcze robotników. Demonstranci rozpraszani byli natychmiast przez przedstawicieli policji. Szczególnie zuchwale zachowywali się robotnicy w obrębie 4-go cyrkułu dzielnicy Narwskiej, gdzie wywiesili czerwoną chorągiew i gdzie kamieniami poraniono poważnie dziewięciu przedstawicieli policji, w tej liczbie 2-ch oficerów, którzy ze względu na słabość pozostającego w ich rozporządzeniu oddziału policji miejscowej i na ogromne podniecenie atakującego ich licznego tłumu zmuszeni byli dać kilka wystrzałów z rewolwerów, i zranili na rogu ul. Kwiatowej i prospektu Zabałkańskiego jednego robotnika, a na wale kolejowym między ulicami Kwiatową i Wolkowską— trzech robotników. Wszyscy ranni robotnicy odesłani zostali do szpitala Obuchowskiego, gdzie położenie ich uznano tymczasem za zadawalające. Powodem zaburzeń jest rozpowszechnianie przez wydawnictwa perjodyczne fałszywych pogłosek o rzekomem poranieniu przez policjantów kilku robotników fabryki Putiłowskiej w dn. 3 b. m. wieczorem, kiedy naprawdę żaden z policjantów nie uciekał się do użycia broni“.

Źródła prywatne nieco inaczej zająć przedstawiają. Przedewszystkiem stwierdzają one, że zastrejkowało ogółem 100 000 ludzi. W starciu zaś padło 4 robotników zabitych, a 50 rannych.

Następnych dni strejkujący usiłowali ponawiać demonstracje; trafiali jednak wszędzie na opór policji konnej, która szeregi ich rozbijała i dokonywała masowych aresztów.

D. 8 (21) lipca organ robotniczy „Trudowaja Prawda“ ogłosił koniec 3-dniowego strejku.

Zaburzenia petersburskie wywołały strejki w innych miastach. W Moskwie porzucilo pracę 15 tys. ludzi; w Charkowie— 9 tys. Najgłośniejszym jednak echem odezwały się wypadki te w Rydze, gdzie stało 70 fabryk, zatrudniających 40 tys. pracowników.

Zdaniem „Gołosa Rusi“, strejk petersburski miał być hasłem do strejku powszechnego, szykowanego na przyjęcie gości francuskich. Organ nacjonalistów wyraża radość, że się to nie udało, dzięki energicznym zarządzeniom administracji.

Pisma rosyjskie stwierdzają jednak, że podniecenie wśród proletariatu tamtejszego stale wzrasta. Ostatnie zaś wypadki dowiodły istnienia organizacji, która— jak się zdawało niektórym— doszczętnie już i bezpowrotnie została rozbita.

Okazuje się, że radość „Gołosa Rusi“ była przedwczesna: zaburzenia bowiem wzmogły się znowu, a na ulicach Petersburga pojawiły się barykady.

KRONIKA.

= Nowe postanowienia obowiązujące.

Gubernator wileński, szambelan Wierowkin, i grodzieński, Szebeko, wydali postanowienie obowiązujące, które opiewa: „Zabrania się wszelkiej agitacji przeciwko sprzedaży przez polaków majątków ziemskich Bankowi Włościańskiemu i osobom pochodzenia rosyjskiego drogą, na przykład, ogłaszania nazwisk sprzedających w prasie perjodycznej i t. p. Winni po-

gwalcenia tego postanowienia obowiązującego mają być karani w trybie administracyjnym grzywną do 500 rb. z zamianą na areszt do 3 miesięcy“.

= Testament St. Leszczyńskiego.

Zmarły w Warszawie St. Leszczyński, prezes wydziału czyteln bezpłatnych przy Tow. Dobroczynności, zapisał prawie cały majątek (ok. 150 tys. rb.) Towarzystwu Biblioteki Publicznej w Warszawie.

= Kazimierz Łazarowicz.

Zmarł w Krakowie warszawski działacz społeczny, Kazimierz Łazarowicz. Był to demokratą narodowy dawnego typu, towarzysz pracy Jana Popławskiego. Głównym terenem jego działalności była oświata ludowa, za której szerzenie więziony był i zesłany. Ostatnimi czasy prowadził wydawnictwo ludowe „Naród“, które jednak zmuszony był zwinąć.

= Miłe stosunki.

W Ciechocinku zastrzelił się przedsiębiorca teatralny Lipczyński. Publiczność polska bojkotowała go za to, że miał orkiestrę żydowską, a żydowska— że prowadził teatr polski.

= Zapomoga dla marjawitów.

Rada ministrów postanowiła wyasygnować biskupowi marjawickiemu Próchniewskiemu zapomogę w wysokości 200 tys. rb. na budowę świątyni marjawickich. Postanowiono również nie stawiać przeszkód rozwojowi ruchu marjawickiego w państwie.

= Dwa zjazdy.

Dn. 8 (21) i 9 (22) odbyły się we Lwowie zjazdy lekarzy higienistów i internistów polskich przy udziale około 1000 uczestników.

= Konkurs.

Lwowski Chór Techniki z okazji 10 letniego jubileuszu ogłasza konkurs na utwór chóralny męski a capella, oryginalny, dotychczas nigdzie nie śpiewany, ani drukiem wydany, dowolnej wielkości i o tekście polskim.

Pierwsza nagroda wynosi 200 k. druga 100 k. Utwory zaopatrzone godłem w zamkniętej kopercie nadsyłać należy do dnia 18 (31) sierpnia r. b. pod adresem „Chór Techniki — Lwów — Politechnika“.

Skład jury jest następujący: Miecysław Sołtys, Stanisław Niewiadomski, Henryk Jarecki, Stanisław Cetwiński, Prof. Karol Skibiński, kurator Tow. Stanisław Tomaszewski dyrygent — Bolesław Pilecki prezes.

= Nietakt szwajcarski.

Dr. Józef Halban ogłasza w pismach lwowskich, że lekarze polscy nie wezmą udziału w zjeździe neurologów w Szwajcarii z powodu wykreślenia z listy uczestników tytułu: „Goście polscy“ i wpisania polaków na listy państw rozbiornych.

= Odmowa.

Grupa rusinów, poddanych austriackich, zamieszkałych w południowych prowincjach Rosji, zwróciła się do ministerjum spraw wewnętrznych z prośbą o pozwolenie na otwarcie w Odesie cerkwi unickiej. Ministerjum starania odrzuciło, oświadczając, że obrządek grecko-katolicki nie jest w Rosji tolerowany.

= Sprawa posła Czheidzego.

Pierwszy departament Rady Państwa jednomyślnie postanowił przedstawić do decyzji Najwyższej sprawę oddania pod najwyższy sąd karny posła Czheidzego, za wygłoszoną przezeń w Dumie mową, w której min. Maklakow dopatrywał się wychwalania ustroju republikańskiego.

= Wątpliwość.

W Radzie ministrów, gdy rozpatrywano skargę gub. Sukowkina, oszkalowanego przez Puryszkiewicza, powstała wątpliwość, czy tego ostatniego można pociągnąć do odpowiedzialności sądowej. Znaczna część ministrów wyraziła zdanie, że byłoby to pogwałceniem nietykalności poselskiej.

= Charakterystyczna sprawa.

Izba sądowa petersburska przystąpiła do rozpatrzenia sprawy 12 dozorców komitetu lekarsko-policyjnego. Wszyscy oni oskarżeni są o łapownictwo i szantaż. Ofiarami oskarżonych byli właściciele domów rozpusty w Petersburgu. Według

ich zeznań, musieli oni opłacać się dozorcóm, sami zaś dozorczy traktowali już w końcu owe systematycznie opłacane łapówki, jako dodatki do pensji i za nieakuratne wypłacanie ich grozili wszelkiego rodzaju represjami.

== Przygotowania do spisu ludności.

Rozesłano do gubernatorów okólnik, zalecający pilne baczenie, by do prac przy wszechrosyjskim spisie ludności dopuszczane były jedynie osoby lojalne pod względem politycznym. Okólnik dodaje, że istniejące biura statystyczne przepełnione są osobami nielojalnymi i że wobec tego przedsięwziąć należy środki, ażeby urzędnicy biur tych nie zostali dopuszczeni do pracy przy spisie, zwłaszcza po wsiach.

== Ultimatum.

Austro-Węgry złożyły Serbji notę terminową, z żądaniem spółdziałania przeciw ruchowi wielkoserbskiemu i ukarania osób, mających związek z zamachem serajewskim.

Treść.

Prytanejon—H. R. C.
Z Francji i o Francji — St. Posner.
Młodzież społeczna w zwierciadle „Głosu młodych“ —
Wi—ski.
Niewłaściwa komenda. — Eljan.
Altana (wiersz). — A Naworski.
Przegląd piśmienniczy. — W. Kiślańska.
Prasa polska.
Głosy rosyjskie.
Na widnokręgu.
Zaburzenia robotnicze.
Kronika.
Odcinek: Sielanka. — M. Pawlikowski.

Nora Walicka. POEZJE:

PROMETEJA,

WRÓG,

NA DNIE BORÓW

DRZEMIE LICHO.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Przegląd Handlowo-Przemysłowy

kwartalnik poświęcony sprawom handlu
i przemysłu Litwy i Białosusi.

Prenumerata rocznie 1 r. 20 kop.
półrocznie — 75 kop.

Redakcja i administracja

Wilno, Kalwaryjska № 7.

Redaktor i wydawca BOLESŁAW STADZIEWICZ.

TOWARZYSTWO KREDYTOWE m. WILNA

Prospekt Ś-to Jerski 5.

Wydaje pożyczki długoterminowe pod zastaw domów i placów niezabudowanych w obrębie miasta. Pod murowane domy i place: na 36 lat 10 mies. i 36 lat 4 mies. na 6 $\frac{1}{2}$ % przy amortyzacji 1%/o. Pod drewniane na 19 lat 11 mies. na 8 $\frac{1}{2}$ % przy amortyzacji 3%/o.

Wylosowuje dwa razy do roku w końcu lutego i sierpnia listy zastawne swego T-wa, za które wypłaca sto za sto.

Listy zastawne T-wa są przyjmowane jako kaucja przy wszelkich przedsiębiorstwach i dostawach rządowych i pod zastaw w Banku Państwa po 60 za 100.

„KRYTYKA” Czasopismo polityczno-społeczne i artystyczno-literackie,

wychodzące od piętnastu lat w Krakowie, od stycznia 1914 r. przeobrażono na DWUTYGODNIK.

Program „Krytyki”: samoistność prawno-polityczna narodu i twórczość. Szereg pisarzy (D-r Bol. Limanowski, Wł. Studnicki, Dr. M. Sokolnicki, W. Feldman, Dr. M. Kukiel, L. Wasilewski i inni), rozbiera w „Krytyce” bieżące sprawy polityki i wojskowości polskiej, gdy myśliciele Kaz. Bleszyński, Dr. Młynarski, dr. Horodyski) oraz wybitni artyści pióra torują drogę wysokiej kulturze duchowej. „Krytyka” pragnie przekonywać czytelnika, nie dogmatyzować. Umieszcza tedy artykuły dyskusyjne wolne o najżywniejszych zagadnieniach narodowych i społecznych. Nadto w każdym zeszycie sprawozdania z ruchu wychowawczego, z teatrów, nowości wydawniczych etc. O Królestwie, Litwie i Rosji umiastcza „Krytyka” stale obszernie artykuły krytyczne. Tem swoim stanowiskiem zajmuje „Krytyka” w prasie odrębne stanowisko idejowe.

W roku 1913 umiastczało swe prace w „Krytyce” około 100 pisarzy, wśród których znajdujemy talenty pierwszorzędne, Jako dwutygodnik, „Krytyka” będzie mogła spełniać swe zadanie w tempie żywszem i w sposób nierównie aktualniejszy.

Prenumerata „Krytyki” wynosi rocznie 10 rb. 20 kop., półrocznie 5 rb. 10 kop.

Adresować należy: Administracja „Krytyki”, Kraków, ul. Staszycza 5.

Wydawca Witold Abramowicz.

Druk „ZNICZ” Wilno.

Redaktor odpowiedzialny Zofja Ostachiewiczowa

Do Czytelników „Przeglądu Wileńskiego“.

—00—

Wobec niezwykle trudnych obecnie warunków wydawania pisma: przy nieregularnem funkcjonowaniu poczty, niedochodzeniu listów, ani pism zagranicznych, nadto zaś wobec nieaktualności dwutygodnika, gdy niemal dzień każdy obfituje w nowe, a wielce doniosłe wydarzenia — wydawnictwo „Przeglądu Wileńskiego“ zostało na razie wstrzymane.

Przepraszając za to Czytelników naszych, zawiadamiamy, że przy pierwszej sposobności postaramy się wynagrodzić im tę chwilową stratę.

REDAKCJA.

Wilno, w sierpniu 1914 r.

Wydawca: Witold Abramowicz. „Drukarnia Wileńska“, Garbarska 1.

Prace

W. Dzwonko 9 m. 10.

W. Dzwonko

W. Dzwonko

Biblioteka Wróblewskich.

Nr 991-B

Lit. P

Dział

Półka

071570

LIETUVOS MOKSLŲ AKADEMIJOS BIBLIOTEKA



002 00186123 9

LIETUVOS MOKSLŲ AKADEMIJOS
VRUBLEVSKIŲ BIBLIOTEKA

P. 392

1914


Biblioteka
Wróblewskich
w Wilnie

1970